



Rok VI.

Łódź, 19. V. 63.

Nr 20 (272)

Cena zł 1.—

PO RAZ PIERWSZY W ŁODZI, W DNIACH OD 17 DO 19 MAJA, ODBĘDZIE SIĘ OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL TEATRÓW STUDENCKICH. PROTEKTORAT NAD FESTIWALEM OBJAŁ MGR EDWARD KAZMIERCZAK, PRZEWODNICZĄCY PREZYDIUM RADY NARODOWEJ MIASTA ŁODZI.

Udział w festiwalu bierze 11 zespołów, w tym 6 spoza Łodzi. Oto teatry uczestniczące w festiwalu: Studencki Teatr Polityczny ze Szczecina, Studencki Teatr „STEP” z Gliwic, Studencki „Teatr 38” z Krakowa, Kabaret Centralnego Klubu Studenta „Hybrydy” z Warszawy, Studencki Teatr „Kalambur” z Wrocławia, Teatrzyk „Co-To” z Gdańska, Studencki Kabaret „To-Tu” z Gdańska, „Cyrk Rodziny Afanasjewa” z Gdańska, Studencki Teatr Satyry „Pstrąg” z Łodzi, Studencki Teatr Satyry „Cytryna” z Łodzi, Studencki Teatr Prób z Łodzi. Osiem z wymienionych zespołów przedstawi na festiwalu po dwa różne programy z tym, że jury oceniać będzie tylko jeden program.

WIESŁAW MACHEJKO

HENRYK KOWALSKI

WIELKOŚĆ i UPADEK KLUBÓW

Kilka lat temu działacze społeczno-oświatowi zapalali namiętnością do organizowania klubów, gdyż jak twierdzili, są one jedyną i najlepszą formą pracy oświatowej, rokującą wielkie nadzieje na przyszłość. Nie zastanawiano się bliżej nad tym, co takie kluby powinny robić, jakie, w tej konkretnej sytuacji, powinny być wartości programowo-ideowe i najsukcesyjniejsze formy ich realizacji. Zdawało się, że do lokalu dawnej świetlicy wystarczy wprowadzić bar, kawę, wieczorek taneczny i zachować niektóre formy pracy kulturalno-oświatowej, jak organizowanie odczytów, spotkań, czy też dyskusji, a reszta już się jakoś sama ułoży. Rodziły się kluby jak przysłowiowe grzyby po deszczu. Nie było miasta powiatowego, nie mówiąc o wojewódzkich, gdzie by klubu nie powstał. W początkowym okresie starano się stworzyć w nich atmosferę intymności, elitarności, pozory jakiegoś wielkiego tajemniczenia. Członkowie takich klubów mieli w Powiatowych Domach Kultury wydzielone saliki, które w czasie swoich zebrani zamykali często na cztery spusty, nie dopuszczając profanów. Kluby te nie nazywały się jeszcze tak wymyślnie, jak obecnie, lecz ogólnie nazywano je Klubami Inteligencji.

Zasadniczą formą ich działalności była dyskusja, czy spotkanie przy czarnej kawie, na którym „rozgryzano” wszystkie problemy związane ze zmianą sytuacji politycznej w kraju, czasem, a później częściej, kiedy tematów do rozważań było coraz mniej, organizowano wieczorki taneczne.

Członkowie klubów złączyli ideę narzekania, rwaniasz i bicia się w pierś, zapelniali sale klubowe i dyskutowali, niejednokrotnie tworząc coś się psuć. Temat dyskusji był ciągle ten sam, a współczesność, podając milowymi krokami do przodu, czyniła z malcontentów nudziarzy i z cza sem, gdy nie chcieli tego dostrzec, — zamleniała w metafizyków i destruktorów życia społecznego, a kluby inteligencji — w kluby mało inteligentnych.

Kryzys pogłębiał się i jego skutki nie dały na sie-

Dalszy ciąg
na str. 2

JULIAN BRYSZ

BUNTU ŻAKÓW CIĄG DALSZY



Otwarcie festiwalu nastąpi w piątek 17 maja o godzinie 18 w sali Teatru Rozmaitości, ul. Moniuszki 4a. Występy zainauguruje Teatr Polityczny ze Szczecina programem antywojennym „Requiem”.

W festiwalu bierze udział 112 członków zespołów. Jednocześnie odbywa się ogólnopolskie seminarium radiowców studenckich i konkurs na najlepszą audycję. Zaproszono do Łodzi 120 przedstawicieli świata kultury, w tym wielu dziennikarzy prasy, radia i telewizji.

W ostatniej chwili zawiadomiono komitet organizacyjny, że ze względu na chorobę aktorów nie przybędzie na przegląd kabaret „TO-TU” z Gdańska. Zatem wszystkie informacje na jego temat umieszczone obok i wewnątrz numeru tracą aktualność.

NAGRODY UFUNDOWALI: Ministerstwo Kultury i Sztuki, Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego, Rada Naczelna Zrzeszenia Studentów Polskich, Rada Okręgowa ZSP, Rektorzy Politechniki Łódzkiej i Uniwersytetu Łódzkiego oraz redakcja „Expressu Ilustrowanego”.

Kogo studenckie teatry dały krajowi?

Rubryka ta została zredagowana z pamięci i po znajomości. Jeśli kogoś pominieliśmy, proszę bardzo się dopisać, byle czytelnie, zostawiamy wolne miejsce.

A więc STS dały: HANNE REK — piosenkarkę, KRYSYNE CHIMANIENKO — aktorkę charakterystyczną, ELŻBIETĘ CZYZEWSKĄ (od pasowej rózgi), EWĘ NAGURSKĄ — piosenkarkę i historyka filmu, ALINĘ RONCZEWSKĄ — siostrę Ryszarda, malarke, autorkę książek dla dzieci, KRYSYNE SIENKIEWICZ — polską Massing, AGNIESZKĘ OSIECKĄ — autorkę piosenek.
(Wolne miejsce dla pań)

Spośród panów: ZBIGNIEWA CYBULSKIEGO — polski Dean, JERZEGO AFANASJEWĄ — poetę, satyryka, dyrektora „Cyrku” ostatnio filmowca, BOGUMILA KOBIELE — filar „Wagabundy”, JACKA FEDOROWICZĄ — podpórę filaru „Wagabundy”, RYSZARDA RONCZEWSKIEGO — mima z „Cyrku” i kiedyś reżysera „Pstrąga”, ANDRZEJA JARECKIEGO — dramaturga i krytyka teatralnego, JAROSŁAWA ABRAMOWĄ — dramaturga i kompozytora piosenek, MARKA LUSZTIGĄ — kompozytora i dźwiękowca Polskiej Kroniki Filmowej, JERZEGO MARKUSZEWSKIEGO — reżysera radia, telewizji i teatru, JANUSZĄ SŁOWIKOWSKIEGO — autora „Parasolek” i 75 innych piosenek napisanych z PIOTREM HERTLEM — dziś kierownikiem muzycznym Teatru 7.15, LESZKA SKRZYDŁO — filmowca, autora pierwszych satyrycznych magazynów filmowych WFO „Było nie było”, JERZEGO PIECZYŃSKIEGO — piosenkarza estrady radiowej, WOWO BIELICKIEGO — lorda z „To-Tu”, JANA SKOTNICKIEGO — magistra, studenta i roku reżyserii PWST i...
(uprzejmie prosimy się dopisać)

GRUPY NIEFORMALNE

Nie wyrosły z próżni. Zrodziły się wśród gromkich, paradnych pieśni masowych, wśród nieporadnych mutacji krakowiaków „Mazowsza” oraz wśród wielkich słów często bez pokrycia. Były zdrowym odruchem młodych organizmów. Z góra 10 lat temu wybuchł ten ruch, któremu ktoś trafnie nadał nazwę buntu żaków. Nie wiemy jak to było w innych ośrodkach akademickich, ale w Łodzi już w roku 1952 notujemy przygotowany przez studentów filologii polskiej kostiumowy montaż jakobińskiej satyry polskiego Oświecenia. Słuchamy potem estradowych programów tępiącego za „kociakowatość” i „złoty styl życia” „Dyllańsu satyry”, oglądamy montaż satyry międzywojennej. W kręgu humanistów na Uniwersytecie Łódzkim wrze. Jesienią 1954 roku ludzie zaangażowani w wymienione bunt żackie tworzą teatr studencki — „Pstrąg”. W roku 1955 w Warszawie odbywa się pierwszy przegląd STS-ów, w których bierze udział 6 najlepszych zespołów.

Bunt żaków rośnie! Jak pisze ówczesna „Kronika”: „Idzie frontalny atak już nie na jednostkowe błędy i wypaczenia ale na same tendencje”. Oczywiście, dużo w tym przesady, dużo przytyczek całkiem niesłusznych.

Celne trafiecia, gorzki śmiech, drwina i ironia, patos i zabawa, humor i nowa studencka piosenka, pantomima i poezja, oto co mieszcza w sobie nieznane dotąd, grające „na jaskółkach”, zawsze pełne studenckie teatryki.

Sceptyczna początkowo prasa twierdzi, że to zjawisko efemeryczne. Potem dopatruje się intelektualnych głębi. Potem szuka rodowodu STS-ów w kabaretach literackich. Potem zaczyna się wreszcie entuzjazmować. A że właśnie satyryczne sceny profesjonalne przeżywają kryzys, nuże walić je po łbach, stawiając za wzór oczywiście studenckie sceny. One bowiem są jak wiatr wiosenny, ożywcze i odrađające satyrę! One łamią bariery formalne teatru, robią to co im się podoba w dziedzinie tekstu, muzyki, scenografii, manier aktorskich, wreszcie tematów. Hałas robi się coraz większy. Coraz więcej tzw. prowini-

Dalszy ciąg
na str. 6 i 7

Fot.: S. MICHAŁOWSKI

WIELKOŚĆ i upadek KLUBÓW

Dalszy ciąg
ze str. 1

bie długo czekać. Odchodziły bardziej światło i zaangażowane jednostki. Kluby stały się puste, nudne i nieciekawe. Upadały jeden za drugim. Nie pomagały znakomite nazwiska prelegentów, twórców, wzywanych niejednokrotnie dużym nakładem kosztów i wysiłku organizatorów, nie pomagały imprezy, które za wszelką cenę miały utrzymać związek z rozpadającymi się środowiskami. Najbardziej wyszukane formy pracy nie mogły i nie zastąpiły twórczej i zaangażowanej atmosfery. Życie domagało się swoich praw i we właściwy sobie rygorystyczny i bezwzględny sposób, żądało ich realizacji.

Posypały się więc nowe pomysły, z których w tej sytuacji, można by rzec, na drugim etapie żywotności i działalności klubów, jeden zdobył sobie niezwykłą popularność, nie dzięki związkom ze współczesnością, ale dzięki fikcyjności tych związków, a mianowicie pomysły organizowania w skali masowej Dyskusyjnych Klubów Filmowych, albo też, jak kto woli — Klubów Miłośników Wiedzy i Filmu. Na smutnych ruinach dawnych klubów inteligencji powstawały Dyskusyjne Kluby Filmowe.

Znowu szli aptekarze, lekarze, prawnicy, inżynierowie i inni, znowu sale były pełne na cotygodniowych spotkaniach. I lały się tży czyste, rzęście na widok wspaniałego ordynata Michorowskiego, niezapomnianej Jadzi i boskiego Valentino. Odżyła epoka młodzieńczych wzruszeń, iluzoryczny ekstrakt przebrzmiałych wartości i niedopieczonych pretensji, narkotyk, który odurzał i ośmieszał i który wprowadzał w lunatyczny stan społecznego i światopoglądowego odrętwienia. Dlatego też gdy zniknął z ekranu boski Valentino i tragikomiczna Trędogłowa, a przed widownią zjawił się prelegent, więcej niż jej połowa opuszczała salę. Cóż mógł powiedzieć ten młody człowiek o ich zacieranym świecie? Zostawiali tylko ci bardziej zorientowani, którzy zdawali sobie sprawę, że warunkiem istnienia klubu jest ich obecność i dyskusja oraz garstka rzeczywistych wielbicieli filmu. Później nawet i tego nie było. Po filmach starych, przyszły filmy współczesne wraz ze swoją problematyką, która nie mogła dotrzeć do świadomości skostniałych iluzjonistów. Pozostały tylko te kluby filmowe, których środowiska zrozumiały ich idee i potrafiły znaleźć w niej realne elementy intelektualnego i artystycznego wyżycia się. Dla takich klubów nie było trudności w otrzymaniu z Centrali Wynajmu Filmów wartościowego filmu, taki klub nie stał się zakamufLOWANYM

kinem i konkurentem zawodowych instytucji, powołanych do tego rodzaju czynności, ale w ogólnej masie klubów, były to cenne wyjątki, które mimo wielu trudności, przetrwały do dnia dzisiejszego. Członkowie pozostałych klubów, zdawałoby się, nie byli zainteresowani oglądaniem filmów, które już kiedyś widzieli, lecz kierownictwo klubu postanowiło je pokazać ze względu na walory artystyczne, czy też treści ideowe lub światopoglądowe. Taka postawa byłaby wielkim uproszczeniem zagadnienia. Nie ma jednostek absolutnie obojętnych na przejawy życia społecznego, kulturalnego, czy politycznego, są tylko ubogie środki oddziaływania, albo nie ma ich wcale. Kierownictwa klubów często nie analizowały potrzeb swojego środowiska i środków jego kształtowania, gdyż traktowały kluby jako imprezy dochodowe, śledziły z przejęciem repertuar miejscowych kin, czy też wyklócały się w CWF-ach o takie filmy, które w danym mieście nie były jeszcze pokazywane. One były gwarantem kompletności widowni i pełnego dochodu. Tak pojmowane, spazowały idee klubów filmowych, zaprzepaszczając duże możliwości twórczego, oświatowego oddziaływania i niejednokrotnie stawały się przyczyną zwykłego hochsztaplerstwa.

To jest już przebrzmiała historia, którą niejednemu działacz kulturalno-oświatowy, niejednemu referatowi kultury, zamknął w lamusie zapomnienia, odfajkował, wykreślił ze swoich rejestrów. Przepraszam za truizm, ale praktyka życiowa jednak uczy, że z historii należy wyciągać wnioski, należy je ciągle analizować i porównywać, gdyż lubią zmieniać oblicze, a mechanicznie stosowane, doprowadzają do nowych katastrof, które choć pozornie znajdują się na różnych płaszczyznach, nie różnią się w skutkach od poprzednich. Jesteśmy podobno, jak twierdzą wtajemniczeni i wszystko wiedzący historycy, narodem o wspaniałych zaletach, ale z jednym głównym grzechem (nie mówię o siedmiu), a mianowicie — nie potrafimy wyciągać wniosków z historii, która podobno tak się rozczuchwała, jak zła aktorka wobec ślepej widowni, nie mogącej dostrzec jej oszukane gry i bijącej jej niezasiłowane oklaski, bez względu na to, co robi.

Po wielkim entuzjzmie, jaki towarzyszył organizowaniu klubów inteligencji, które miały swój twórczy wkład w dzieło odnowy politycznej i moralnej kraju, zwłaszcza w początkowym okresie działalności, po drugim wielkim entuzjzmie organizowania klubów filmowych, zaczął się okres trzęsącego wielkiego entuzjzmu, powstały — kluby młodzieżowe o charakterze kulturalno-oświatowym i rozrywkowym. Zaczęły rodzić się różne „Bajki”, „Sezamy”, „Alibi”, „Filutki”, „Syrenki”, które, jak kiedyś fikcyjne kluby filmowe walczyły z CWF, przystąpiły do bezparadonowej walki z różnymi kłakami gastronomicznymi, tworząc lokale nie różniące

się w zasadzie od przeciętnych lokali rozrywkowych, z tą tylko różnicą, że pod szyldem działalności społecznej i oświatowej.

Ideowa i społeczna funkcja klubów ustąpiła miejsca idei organizowania tanich i często niewybrednych rozrywek. To wcale nie znaczy, że nie organizuje się innych form pracy kulturalnej. W pewnym klubie zorganizowano kabaret (nikt nie wie co to teraz znaczy). Na wieczorkach tanecznych, organizowanych trzy razy w tygodniu, zainteresowani organizatorzy wybierali co ładniejsze „babki” i proponowali im udział w nocnych próbach kabaretu. Był lokal, intymność, jakiś pianista, dostateczna ilość wódki, strip-tease i wszystkie inne akcesoria składające się na edukację tak zwanej „współczesnej” młodzieńca. Można by przypuszczać, że zadania pracownika kulturalno-oświatowego zostały uzupełnione koniecznością praktycznego uświadamiania enotliwych dziewczuszek o ich właściwej roli w społeczeństwie i odpowiednim zaangażowaniu. To jest przypadek krańcowy, który w ogólnej sytuacji nie może rzutować na całą pracę klubów. Niemniej jednak przypadek, który wcale nie jest odosobniony. Symptom postępującego rozkładu, zauważone i nie zlikwidowane w odpowiednim czasie, mogą w konsekwencji doprowadzić do ogólnego kryzysu pracy klubów (jeśli jeszcze nie doprowadziły), do spalenia ich funkcji społeczno-ideowej i w ostatecznym wyniku — do całkowitego zdevaluowania wartości. Doświadczenia z wieloma klubami, nie będą wymieniać nazw, gdyż ułożyłaby się z tego długa lista, które zostały zlikwidowane, bądź zmarły śmiercią naturalną, bądź też usychają w przedśmiertelnym podrygu, winna być ostrzeżeniem dla tych wszystkich działaczy, którzy z „arkadyskim spokojem” przechodzą obok ciągle rosnących zadań, wierząc w status quo, a nie w status nascendi.

— Przypadkowość organizowanych odczytów, dyskusji, spotkań, spowodowana częścią biurokratyzmem instytucji społeczno-kulturalnych, niż rzeczywistą analizą potrzeb danego środowiska, przy którym istnieje klub czy świetlica, zamienia je w towarzystwa wzajemnej adoracji, w związki pseudokulturalnego belkotu i „dretwej mowy”. Placówki takie nie mogą nie robić dla współczesności. Oczywiście, żeby „zaklajstrować” czy opozycję wśród podejrzliwych i jakże często naiwnych działaczy społecznych, organizuje się od czasu do czasu jakas imprezę kulturalną i robi się huczek żeby wiedzieli partia, władze miasta, zainteresowane czynniki i opinia społeczna. Wygodnictwo i pogoń za efektem, beztroška i „jakos tam będzie”, spowodowały, że wielu działaczy, czy też urzędników od kultury, pozwoliło sobie wyrwać inicjatywę z rąk i doprowadzić do niezdrowej sytuacji, w której zamieniono pracownika kulturalno-oświatowego w „wykidajkę”, a kluby-placówki kultury, poważne narzędzie społecznego oddziaływania, w zwykłe tancbudy, które z tą kulturą nie wspólnego nie miały. Kierownik klubu, czy świetlicy, wychodząc z założenia: „aby wilk był syty i owca cała”, lawirował między wytworzoną sytuacją, a planami, sprawozdaniami, wykazami, jakich żądała od niego jednostka nadrzędna, która z czynnika kontrolującego i koordynującego, zamieniła się w czynnik administracyjny, zajęły dozorowaniem papierków.

Uzdrowienia takiego stanu rzeczy nie załatwi najbardziej salomonowy okólnik Ministerstwa Kultury, przed stawiający program, czy też jakieś jego ogólne ramy, ale ideowy i zaangażowany stosunek środowiska, przy którym dana placówka kulturalno-oświatowa istnieje. Jednoosobowe lub pseudokolektywne, pozbawione udziału środowiska i koordynacji programowo-ideowej aktywności społeczno-politycznego kierownictwa klubu, stwarza szerokie możliwości do wynaturzenia społecznej funkcji klubów i świetlic, do nadużycia programowych i ideowych, a tym samym wykluczyć może ceną placówkę z nurtu życia społecznego, powodując niepowetowane straty, trudne później do odrobienia. Każda instytucja, każdy zakład pracy posiadający różnego rodzaju aktywność społeczną, czy polityczną, czy politycznym, których członkowie tworzą tak

EWA SULIBORSKA

Łódzianie
1963

KIEJSTUT BACEWICZ



„Nie lubię egzystencjalizmu — mówi Kiejstut Bacewicz. — Zakładając niemożność porozumienia się z drugim człowiekiem, głosząc samotność, skazuje nas, ludzi na egzystencję beznadziejną i przerażającą. Myślę, że wewnętrzny rozwój człowieka możliwy jest tylko nie jako poprzez otwarcie siebie; tylko poprzez szukanie dróg porozumienia z innym człowiekiem. Wolność dana człowiekowi, to szansa intelektualnego zbliżenia z innym człowiekiem, to droga do wewnętrznej doskonałości siebie, do bogactwa naszej osobowości. Czytamy teraz książkę Edmunda Mounier — „Co to jest personalizm?” Znalazłem w niej szereg sformułowań, które ogromnie mnie zafascynowały, bo są jakby wzięte z moich przemyśleń. A wiadomo, że człowiek, chcąc nie chcąc, w czytanych książkach odnajduje swoje życiowe doświadczenia, swoje przemyślenia. To tak, jakby siebie przez nie potwierdzał”.

Kiejstut Bacewicz, od lat sześciu rektor Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej, pianista, znany kameralista, akompaniator, pedagog, jest także i filozofem, uczniem prof. Tatarkiewicza. Tytuł jego pracy magisterskiej złożonej na Uniwersytecie Warszawskim brzmiał: „Poglądy Hume'a na dobro”. I tym filozoficznym, pasjon prof. Bacewicz do dziś pozostaje wierny, godząc z nim działalność muzyczną. Uczeń Tatarkiewicza, Witwickiego i Kotarbińskiego prowadził wykłady z psychologii i estetyki, jednocześnie zaś i katedrę muzyki kameralnej.

„Mój ojciec był fanatycznym miłośnikiem muzyki. Zarówno ja, jak i moje rodzeństwo wczesnie muzykowaliśmy. Mielismy nawet własny, rodzinny zespół kameralny. Zainteresowaniu muzyką kameralną obudziło w dzieciństwie przez ojca pozostałem do dziś wierny. To dla mnie najcenniejsza, najszlachetniejsza muzyka”.

W rodzinie państwa Bacewiczów muzykowano chyba nie najgorzej, skoro całe rodzeństwo okazało się tak nieprzeciętnie talentowane. Pań

stwo Bacewiczowie mieszkali przez jakiś czas w Łodzi, ojciec pana Kiejstuta był tu nauczycielem.

„Szkoła Muzyczna, potem Konserwatorium Heleny Dobkiewiczowej mieściła się wówczas przy ul. Traugutta. Wykładały w niej m. innymi takie sity jak Sikorski-teoretyk i kompozytor, Wilkomirski-wiolonczelista i teoretyk, Turczyński — europejskiej sławy pianista. Ze szkoły pani Dobkiewiczowej wyszło wielu znakomitych wirtuozów, choćby Władysław Kędra”.

W konserwatorium tym studiował całe rodzeństwo Bacewiczów, także i Grażyna, dziś światowej sławy kompozytor i skrzypaczka. Gdzieś około 1924 roku pan Kiejstut rozpoczął studia na Warszawskim Uniwersytecie i w warszawskim Konserwatorium u Antoniego Dobkiewicza, męża pani Heleny, który wówczas objął klasę fortepianu w Warszawie.

Pan Kiejstut, otrzymuje dyplom w Konserwatorium, tytuł magistra filozofii i rozpoczyna pracę pedagogiczną, a potem, zwiąawszy się z organizacją Ruchu Muzycznego (ORMUZ), działalność artystyczną. Koncertuje, występuje w wielu miastach z takimi znakomitościami jak Umińska, Szeleńska i inni.

„Bogacimy się wewnętrznym — mówi Kiejstut Bacewicz — dając siebie innym, a nie tylko biorąc od innych. To otwarcie siebie na przyjęcie innego człowieka, to jedyna z zasad dobrej pedagogiki. Jest ona ważna szczególnie przy przekazywaniu wiedzy muzycznej. Być dobrym nauczycielem, to znaczy wejść w taki kontakt z uczniem, który by pozwolił na swobodne przekazanie bez niszczenia indywidualności ucznia tego, co może pomóc w rozwoju jego osobowości artystycznej. Dobry nauczyciel nie może być ciętym zwolennikiem doktryny. Doktrynerstwo jest przeciwieństwem każdej sztuki, zamyka ją w ciasnych ramach, a więc w rezultacie skazuje na zniszczenie. Nauczyciel przekazując swoją wiedzę i doświadczenie buduje. I jest świadkiem budowania. Oddając coś z siebie uczniom, coś z siebie

bie im przekazując, jesteśmy obecni w procesie rozwoju, patrzymy jak nasi uczniowie wzbogacają i dopełniają to, co nam udało się zacząć, co ledwie przeczuwalimy. Tak budujemy i przekazujemy kulturę, tak odbywa się nasze trwanie w czasie”.

Kiejstut Bacewicz mówi o tych sprawach z ogromną pasją. Problemy pedagogiczne, psychologiczne, filozoficzne są przedmiotem jego rozważań, o nich najchętniej dyskutuje. „Muzykę słuchając muzyki nie szukają w niej literackich treści, nie kojarzą jej z nim. Dla nas ważne są tylko sprawy pedagogiczne, psychologiczne, filozoficzne, które same przez się mają walory wyrazowe. Oczywiście, słuchając, jestem świadomy roboty muzycznej kompozytora, od tego nie można się uwolnić, ale czując pewnie dlatego smak muzyki pełniej niż odbiorca, przyjmując ją tylko emocjonalnie. Proces odbioru muzyki jest zresztą sprawą ogromnie skomplikowaną i z pewnością potrzebne by były szerokie badania, aby tę rzecz uogólnić. Z natury rzeczy profesjonalista uprawianą przez siebie sztukę traktuje inaczej”.

„Do pełnej percepcji każdej sztuki trzeba mieć odpowiednio przygotowanie, wymagać tego trzeba zarówno od czytelnika wierszy, jak i od słuchacza muzyki poważnej. Brak przygotowania utrudnia, albo wręcz uniemożliwia należyty odbiór sztuki, a stąd już tylko krok do potępienia”.

„Lubię muzykę preklasyczną, barokową, lubię także Chopina, Debussy'ego, Ravela, Skriabina, Szymanowskiego. Ale jestem gorącym wielbicielem także i muzyki współczesnej. Z młodych polskich kompozytorów najwyżej cenię Pendereckiego i Góreckiego”.

Kiejstut Bacewicz sam także komponuje. „Nie mam właściwie czasu na to komponowanie — mówi — pracuję w szkole, działalność pianistyczna, liczne lektury, których nie ograniczam, bo nie bardzo umiem to robić, pochłaniają właściwie cały dzień. I ciągle myślę o tym, że ta praca jest jeszcze przede mną”.

HENRYK KOWALSKI

Drukujemy artykuł „Wielkość i upadek klubów” z okazji jego wydania w „Odgłosach”. Liczymy na wypożyczenie z niego z zainteresowanych — najeleńkawsze z nich wydrukujemy w „Odgłosach”.

RED.

Nowa estetyka filmu

O tym, że sztuka filmowa znajduje się dziś w specyficznej sytuacji — jakby na kręcie drogi swego rozwoju — nie trzeba chyba nikogo przekonywać. Zadomowiona już na dobre na dostojnym Parnasie Sztuki (tych przez duże S), dystansująca się z pewnością swych koncepcji zarówno epiką literacką jak i teatrem, zagrożona jest równocześnie w swej masowości i popularności przez telewizję. Czy przejdzie na zawężone i elitarne pozycje, jak literatura oraz teatr? Czy rozwój swój oprze na gigantycznych widowiskach szerokiego ekranu? Jaką zajmie pozycję w kulturze — jakże bliskiego już — dnia jutrzejszego? Niektóre z tych problemów były tematem cyklu artykułów, publikowanych p. n. „Nowe sprawy sztuki filmowej” na łamach Odrogłosów (1962, nr. 48 i 50 oraz: 1963, nr. 1, 4, 7, 10, 13), jako obserwacje i komentarze formułowane z punktu widzenia badań naukowych nad filmem. Jest to specyficzny punkt widzenia — traktujący dzieło sztuki nie tylko jako bodziec przeżycia lub akt poznawczy, ale także jako określony strukturą artystyczną, jako katalizator określonych postaw odbiorczych (indywidualnych i zbiorowych), wręcz jako ogniwo procesu historycznego. Krytyk spowiada się ze swych osobistych wrażeń. Badacz opisuje realne przedmioty i realne zjawiska. Obaj dochodzą często do podobnych wniosków, różnymi jednak drogami. Krytyk za pomocą intuicji i wrażliwości osobistej, badacz na podstawie określonych i ściśle zabiegów metodologicznych. Krytyk jest żywiołowy, badacz — systematyczny. I właśnie dlatego, na zakończenie wspomnianego cyklu, dorzuciłem wypadać słów parę o systemie naukowego spojrzenia na sztukę filmową, czyli o nowej estetyce filmu.

Sam tytuł tego artykułu nasuwa dwa pytania. Pierwsze: dlaczego właśnie „estetyka”, a nie np. „teoria filmu”? — drugie: co to jest „nowa” estetyka filmu i czyje poglądy należą już do „starej”? Spróbujemy odpowiedzieć na oba te pytania.

Określenie czy też nazwa „film” posiada, jak wiadomo, kilka znaczeń. Oznacza ono: a) zjawisko fizyczne i wywołujący je układ techniczny, b) narzędzie rejestracji rzeczywistości i jej badania, c) system informacji wizualno-akustycznej, d) wytwór ekonomiczny i produkcyjny, wreszcie: e) dziedzinę twórczości artystycznej. Ten ostatni aspekt wydaje się specjalnie ważny, gdy tematem rozważań są zagadnienia sztuki filmowej, no, i gdy zważyć zechcemy, że artystyczność filmu stanowi najpotężniejszy atut jego oddziaływania społecznego. Utwór filmowy jest dziełem sztuki. To prawda, ale prawdą jest również i to, że to samo dzieło jest równocześnie i widmem świetlno-akustycznym, i dokumentem odbijającym rzeczywistość (autentyczną lub inscenizowaną), i przekazem informacyjnym, i produktem przemysłu rozrywkowego. To bogactwo struktury dzieła filmowego sprawia, iż może być ono rozpatrywane i oceniane według pojęć różnych dyscyplin naukowych: psychologii, socjologii, semantyki, teorii informacji, a nawet techniki i ekonomii.

Teoria filmu nie jest żadną pojedynczą i określoną dyscypliną naukową. Jest to raczej zbiór tych wszystkich nauk, które mogą być przydatne w badaniu i interpretacji dzieła filmowego. W tym

zbiórze szczególnie ważną, w pewnym sensie nadrzędną, dyscypliną jest właśnie estetyka, która rozumieć wypada jako ogólną teorię sztuki, jako naukę o różnych formach piękna i o powodowaniach przez nie doznaniach psychicznych. Podbudowę estetyki filmu stanowi jego stylizacja oraz poetyki różnych form gatunkowych. Jedynie estetyka umożliwia właściwą ocenę dzieła i pozwala określić sferę jego oddziaływania na jednostkę i na grupy społeczne. Właściwa, t. j. na realia oparta ocena dzieła, stanowi podstawę umiejscowienia go w skali kulturalno-społecznej oraz historycznej. I dlatego właśnie estetyka filmu zasługuje na szczególną uwagę, gdy mówimy o naukowych zagadnieniach filmoznawczych.

Czy kategorie estetyczne niezbędne są przy każdej próbie oceny filmu? Niekoniecznie. O dziele filmowym mówi się najczęściej zupełnie tak samo, jak o dziele literackim — t. zn., omawia się jego treść, jego tendencje filozoficzne, ewentualnie także jego kompozycję tematyczną. Film, literatura, teatr, są jak wiadomo, swoistymi formami poznania i interpretacji rzeczywistości. Te gałęzie sztuki interesują nas przede wszystkim ze względu na ich treść i ich tendencje filozoficzne tłumaczenia świata. Oceną treściowej wymowy dzieła zajmuje się krytyka — i to jest jej wielka funkcja społeczna. Badanie naukowe sięga głębiej. Zajmuje się nie tylko wymową tematyczną czy ideologiczną dzieła, ale także strukturą formalną tej wymowy. W badaniach odgrywa więc swą prowadzącą rolę metodologia estetyki, wspierana z jednej strony przez semantykę i teorię informacji, z drugiej zaś przez psychologię i socjologię. W podsumowaniu: do krytyki filmu estetyka nie jest niezbędna, w badaniach naukowych — konieczna.

Estetyka filmu jest nauką stosunkowo młodą. Tak samo jak młoda jest sama sztuka filmowa, i jak twórczość filmowa nie od razu doczekała się swej społecznej nobilitacji, tj. zrównania z innymi tradycyjnymi sztukami, tak samo i estetyka filmu nie od razu uznana została za pełnoprawną dyscyplinę naukową. Były co prawda realne tego przyczyny. To, co o filmie pisano w pierwszych dziesięcioleciach lat jego istnienia, miało charakter żywiołowy, odkrywczy i manifestowy. Zajmujące się nową sztuką eseje i dzieła pisane były raczej przez publicystów i artystów, niż przez ludzi nauki. Toteż świat nauki, reprezentowany przez instytucje i uniwersytety, przez długi czas nie przyjmował do wiadomości istnienia filmoznawstwa jako dyscypliny badawczej i wykladał. Mieczysław Walis („Odkrycie filmu”) pisał o tym, jak sympozjony estetyków ignorowały do końca lat 30 tematykę filmową. (Nawiasem mówiąc — do dziś sprawa ta nie jest bez reszty wyrównana). Mimo braku oficjalnego uznania ze strony świata nauki, literatura estetyczna na temat filmu rosła jednak ustawicznie. Napisała lat temu przeszło dziesięć przez Guidona Aristarco; „Historia doktryn filmowych” omawia pokazywany zespół dzieł i bogaty wachlarz poglądów. Określenie estetycznych podstaw sztuki filmowej stało się faktem dokonanym i osiągnięciem etap dojrzałości krytycznej. Ale

też tenże Aristarco w podsumowaniu swego dzieła przeprowadza miazgającą krytykę dotychczasowych postrzeżeń filmoznawczych. Większość estetyków filmowych zarzuca brak ścisłych kryteriów pojęciowych i zaniedbania metodologiczne. Postuluje podjęcie badań filmoznawczych w oparciu o systematyczny warsztat badań humanistycznych.

Krytyka Aristarco nie jest głosem wołającego na puszczy i ukazała się we właściwym — rzecz można — momencie dziejowym. Bezpośrednio po wojnie (w drugiej połowie lat 40) teoria filmu znalazła się nagle w centrum zainteresowania estetyków, psychologów i teoretyków kultury masowej. Wydarzeniem o dużym znaczeniu stało się powstanie w Paryżu, przy Sorbonie, Instytutu Filmologicznego, w ramach którego wybitni przedstawiciele różnych dyscyplin naukowych podjęli badania ściśle nad filmem jako specyficzną strukturą estetyczną, jako bodźcem specyficznych doznań psychicznych i jako zjawiskiem socjologicznym. Przykład filmologów paryskich znalazł naśladowców w innych krajach i na pewno dał impuls do podejmowania badań kompleksowych (kilkukierunkowych) nad filmem. Już wyniki pierwszych badań tego typu ustaliły linię graniczną między „starą” a „nową” estetyką filmu. Stara estetyka kina opierała się na indywidualnych poglądach, formu-



„Ich dzień powszedni” — to nowy polski film, który wkrótce wejdzie na ekrany. Na zdjęciu: Pola Raksa w filmie „Ich dzień powszedni”.

Fot. Z. ZAREMBA

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

lowanych pod wpływem pewnej ilości obejrzanych filmów przez indywidualnych, tj. samotniczo działających pisarzy. Ten system tworzenia wiedzy o filmie odegrał pozytywną, pionierską rolę w pierwszych latach kina, gdy każda publikacja była odkryciem i manifestem nowej sztuki. Gdy sztuka filmowa dojrzała i rozrosła się na przeróżne gatunki, gdy film stał się potężnym elementem kultury masowej, gdy zajmować począł pozycję powieści, gazet i podręcznika, te samotnicze penetracje, niesprawdzone i zbyt ogólnikowe, straciły wartość relacji naukowej. Powstała konieczność stworzenia nowej, tym razem ściśle naukowej estetyki kina.

Z dawnego okresu estetyki filmowej przejmujemy dziś — jako fundament i jako wytyczną kierunkową — kilka spostrzeżeń o kapitalnym znaczeniu. I tak Bergson („Ewolucja twórcza”) ustalił analogie między mechanizmem zjawiska kinematograficznego a mechanizmem ludzkiego postrzegania i myślenia. Canudo („Manifest 7 Sztuki”) określił film jako specyficzny język i podkre-

ślił jego ograniczoną poetyckość. Irykowski („X Muza”) zobaczył twórczość sztuki filmowej w zjawisku ekranowym i ustalił ludzką miarę rzeczywistości filmowej („obcowanie człowieka z materią”). Kleiner („U wrót nowej estetyki”) pierwszy zdefiniował odrębność sztuki filmowej, która zmienia radykalnie tradycyjne zasady tworzenia w wyniku swego technicznego charakteru. Ale przede wszystkim ważne i w swoisty sposób decydujące są sformułowania Eisensteina i Epsteinie.

Eisensteina i Epsteinie można śmiało nazwać ojcami (jeśli kto woli: pionierami) nowej estetyki kina. Rzecz charakterystyczna — obaj widzieli teorię filmu z perspektywy własnych doświadczeń twórczych. Nie byli oglądaczami filmów i krytykami, jak tyli inni, którzy usiłowali stworzyć teorię perspektywy sali kinowej. Dla nich obu warsztat realizatorski zastąpił pracownię eksperymentalną. Eisenstein („Montaż pionowy”) ustalił pełne t.j. obrazowe, akustyczne i pojęciowe zasady kompozycji filmowej, on również („Raczej się, proszę”) przewidywał monolog wewnętrzny jako najsurowszy środek wyrazowy sztuki kina. Epstein („Inteligencja maszynowa”) stał się prekursorem cybernetycznej teorii filmu. Poglądy Eisensteina i Epsteinie zostały już w szczególności skorygowane i opatrzone nowymi spostrzeżeniami, w ogólnym jednak swym kierunku stanowią

dzis wytyczną badań estetycznych nad filmem.

Ostatnie dziesięciolecie przyniosło — poza wynikami badań filmoznawczych, prowadzonych w różnych krajach — kilka wybitnych dzieł, bogactw estetyki filmu w oparciu o doświadczenia naukowe. Autorami tych wybitniejszych pozycji filmoznawczych są: Cohen-Seat („Problemy filmu i informacji wizualnej”), Seve („Film i metoda”), Souriau („Uniuersum filmowe”), Morin („Film czyli człowiek i jego rzeczywistość”), Bazin („Co to jest film”), May („Język filmu”), Debrix („Podstawy sztuki filmowej”), Jackiewicz („Latarnia czarnoksiężska”), Dobin („Poetyka sztuki filmowej”), Vallet („Z tamtej strony obrazu”), wreszcie Kracauer („Teoria filmu”). To przypomnienie nazwisk i tytułów nie wyczerpało drogi i wszystkich kierunków badawczych nowej estetyki filmu, ma jedynie na celu wskazanie zasługujących na uwagę prób syntezy estetycznej. Zagadnienie syntezy jest w badaniach filmoznawczych szczególnie drażliwe. Stara teoria filmu lubowała się w tworzeniu efektownych syntez, brako im jednak sprawdzalnej podstawy dowodowej. Były po prostu zawieszony w powietrzu. Filmologowie parwscy ponadli w drusa skrajność. W ferworze badań analitycznych i wyliczniczych zaniedbali syntetyczne podsumowania wyników tych badań w oparciu o estetykę ogólną. Wiedza o sztuce filmowej musi trzy-

mać się racjonalnego środka. Poznanie interpretacji dzieła służy jego ocenie, analiza służy syntezie. Stąd wylania się konieczność stałej łączności między ośrodkami badań nad filmem.

Nowe badania nad sztuką filmową odkryły już wiele jej właściwości i ustaliły jej prawa obiektywne oraz charakter tworzywa. Znałe już są warunki strukturalne, jednoczące w dziele filmowym elementy różnych sfer rzeczywistości (obraz — dźwięk — słowa — muzyka) i różnych sztuk: literatury, plastyki, rzyki, architektury. Badane są warunki oddziaływania widownia kinowego na organizm i psychikę człowieka. Opracowuje się teorię filmowych sygnałów informacyjnych. Określa się i systematyzuje formy oraz kręgi społecznego oddziaływania kina. Wszystkie to dzieje się po to, by sprawy filmu integrować w całości kształt wiedzy o sztuce i o kulturze. Bez tej integracji badania filmoznawcze nie miałyby sensu.

I tu zarysowuje się ostateczna różnica między starą a nową wiedzą o filmie. Stara adresowana była do kinomanów, egzoizowała więc sprawy kina i wvdrob niała je z całości świata. Nowa estetyka filmu obrala przeciwny kierunek. Sprawy kina pragnie zestawić z innymi zjawiskami artystycznymi i społecznymi. Pragnie je wpisać w ich krąg. Adresowana jest do wszystkich — jak wiedza o języku, jak wiedza o kulturze.

EKRANIK

Koszty realizacji filmu „Kleopatra” osiągnęły gigantyczną sumę 40 milionów dolarów. Według przewidywań producenta tego filmu, „Kleopatra” musi przynieść co najmniej

75 milionów dolarów dochodu. Jak dotąd, film został zamówiony przez 100 kin na 75 tygodni z gwarancją sprzedaży wszystkich biletów po 5 dolarów. Dotychczas w nowojorskim kinie „Rivoli” wykupiono bilety na dwa miesiące, chociaż premiery odbędzie się dopiero 12 czerwca.

Producent super-filmu „Cyd”, Samuel Bronston przystąpił do realizacji jednego z najkosztowniejszych filmów świata „Upadek cesarstwa wspaniałego”. Wśród obsady aktorskiej, liczącej ponad 50 nazwisk,

pierwsze miejsce zajmują Sophia Loren, James Mason, Alec Guinness i Mel Ferrer. Całość tego filmu-giganta reżyseruje Anthony Mann.

Oto niektóre tytuły filmów zgłoszonych na tegoroczny festiwal w Cannes: „Zabieć kłapra” reż. Roberta Mulligana, „Co się stało z Baby Jane?” reż. Aldricha z Betty Davis i Joan Crawford z USA i „Życie sportowca” Lindasa Andersona — znanego dokumentalisty angielskiego.

Brigitte Bardot przygotowała film „sama dla siebie”, według opowiadania Alberta Moravia — „Pogarda”, produkcja włosko-francuskiej. Jak do tej pory, jedyną przeszkodą w powstaniu filmu jest brak reżysera, którego BB ma sobie sama wybrać.

„Nagrode młodych” w kinematografii francuskiej dla najlepszego filmu dla młodzieży klas licealnych otrzymał Robert Dhery za „Krajoznika szos”. Przypomnieć warto, że poprzednie nagrody otrzymał między innymi Lamorisze za „Czerwonego balonika” i Pigaut za „Latawca z końca świata”.

Jeanne Moreau i Jean Paul Belmondo występują tym razem w filmie „Skórka barana” w reżyserii Marcela Ophülsa (syna Maxa), który jest twórcą jednej z nowel filmu „Miłość dwudziestolatków”.

Kto i jaką otrzymuje pensję? Reżyserzy Fellini i Visconti sami sobie wyznaczają honoraria, de Sica bierze 1.200.000 lirów za film, Antonioni i Castellani po 800.000. Najniżeli platni za wybitnych reżyserów jest Zurlini — 320.000 lirów za film. Z aktorów najwyższe honorarium otrzymuje Alberto Sordi — 1.000.000 lirów, Marcello Ma-

stroiani — 800.000, Gasman — już tylko 200.000, a Gabriele Ferzetti — 120.000. Z popularnych gwiazd rekordy bije Sophia Loren, otrzymując 3.200.000 lirów za film, Gina Lollobrigida otrzymuje „tylko” 1.200.000, a Silvana Mangano 800.000. Wśród „najtańszych” aktorów czołowe miejsca zajmują Antonella Lunelli — 160.000 i Rossana Podesta — 120.000.

odgłosu

Fragment z powieści „POWRÓT do KRAJU”

Posłuchałem Felicji: złożyłem wymówienie. Chrzan był rzeczywiście zaskoczony. Poprosił mnie do swego gabinetu. „Nie przypuszczałem, że posunie się pan aż tak daleko. Całą tę rozmowę traktowałem, rzecz jasna, jako żart. Niepotrzebnie uniósł się pan honorem. Przyszła, że nie zawsze byłem z pana zadowolony, ale przecież i ze mnie nie wszyscy są radzi. Trudno: takie już jest to nasze życie. Niech pan się zastanowi, wszystko jest do załatwienia”.

Nie cofnąłem wymówienia. Nieraz bolałem z powodu pewnych decyzji, ale nigdy ich nie cofałem. Byłem przesądny: wydawało mi się i wydaje do tej pory, że wycofanie się z raz powziętego zamiaru jest oznaką chwiejności charakteru i lekkości przed życiem. Z pewnością mam wiele wad, ale na jednym mi nie zbywa: na odwadze. Kiedy matka dowiedziała się, że sam wymówiłem pracę, nie mogła się dość nadziwić. „A tak już — było ładnie: jeździłeś regularnie do biura, każdego pierwszego przynosiłeś pieniądze, zaczęliście prowadzić normalne życie. I naraż, słysze, zwalniasz się sam. Nie rozumieć”.

Życie moje od dawna budziło w matce podejrzenia. Nie mogła się pogodzić z tym, że nie jestem na żadnej posadzie, nie podpisuję listy obecności, nie mam stałej pensji. Owszem dumna była z tego, że piszę. Gdy w radio posłyszała moje nazwisko, dostawała wypieków na twarzy, gazetę z moim tworem brała do ręki ostrożnie i z nabożeństwem. Ale potem opadały ją nowe wątpliwości. Wszyscy w naszej bliższej i dalszej rodzinie mieli określone zawody i wykonywali konkretne rzeczy. Jeden pracował na roli, inny w fabryce, ten kuł żelazo jako kowal, ów robił zamki i klucze, tamten siał i zbierał. A ja? Siedzę przy biurku i coś niby piszę. Było w tym wszystkim coś mało realnego, coś niezrozumiałego, co matkę mogło napawać lekciem. Lęk to był serdeczny, wypływający z troski o mnie, o moją przyszłość i o nasze dzieci. To, co robili szwagrowie: Leon, Broniek i Ma-

rian było jasne, można się było tego dotknąć, można to było sprawdzić, ujrzyć na własne oczy. Nawet do Stacha jako dyrektora zdołała się matka przekonać, zwłaszcza, że dawał sobie świetnie radę, fabrykę postawił na nogi, dobrze o nim mówiono, a gdy w dodatku zdecydował się pojechać do Giliwic i wstąpić na politechnikę, by dopeł-

niać, gdy był mały i gdy o własnych siłach nie potrafił wdrapać się na krzesło.

Coraz częściej myślałem o tym, by się stąd wyprowadzić. Nie żebyśmy się czuli tutaj źle. Byłem pewny, że nigdzie nie będzie nam już tak dobrze jak w Piechowicach. Nigdzie nie dostaniemy tak pięknego mieszkania i żaden dom

że myślimy o odlocie, bo któregoś wieczoru powiedział do mnie:

— Ja wiem, że tobie potrzebne jest wielkie miasto, taki Wrocław na ten przykład, ale ty się jeszcze zastanów. Tutaj ciebie wszyscy znają i ty znasz wszystkich, a gdzie indziej zaczynać musisz od nowa. A Polska jest krajem ciasnym. Ciasno wszędzie; w

mojej wczesnej młodości. Nie bez znaczenia było i to, że ze Szklarskiej Poręby wyniósł się do Łodzi Jan Sztudynger, że Czesław Centkiewicz, Edward Koziński i Jan Nepomucen Miller zamienili Jelenią Górę na Warszawę, że Teofil Kowalczyk osiadł na stałe we Wrocławiu, a Nina Rydzewska wywędrowała aż do Szczecina. Nawet Wacław Mrozowski zrezygnował ze swego pięknego domku w Białym Kamieniu pod Wąbrzychem, by poszukać sobie miejsca gdzie indziej. Pustoszała nasza kolonia artystyczna, ludzie szli do wielkich ośrodków, gdzie życie umysłowe rozwijało się coraz bujniej i gdzie istniały większe możliwości zaspokojenia swoich tęsknot i pragnień.

Nawet król poetów, Leopold Staff, nie osiedlił się w oddanym mu do dyspozycji pałacu po Gerhartie Hauptmannie w Agnieszku. Wołał pozostać w Krakowie, który potem porzucił dla Warszawy. Więc cóż mówić o takich początkujących szarakach jak ja. Ramię literatury jest krótkie i obejmuje tylko tych, co są w pobliżu. Z trudem sięga do miast wojewódzkich, a do powiatów, miasteczek i wsi nie sięga wcale. Nie myślałem o tym wszystkim z goryczą. Po prostu stwierdzałem fakty, rozumiejąc, że nie może być inaczej. Na Ziemi Jeleniogórskiej osiedliło się zaraz po wojnie wielu pisarzy i plastyków, ale nie trudno było przewidzieć, że jest to ponad miarę potrzeb i możliwości terenu. Ze ziemia ta może zaoferować

artystom swoje piękno, ale nie zaoferuje pracy w akademii, w redakcji, w radio, czy na uniwersytecie. Wiem, wiem: trzeba wprawdzie znać życie, a potem zabierać się do twórczości. Zdawało mi się, że znam życie dostatecznie dobrze. Całe moje dzieciństwo, młodość, lata wojny i okupacji, emigracja i konsulat czymś były, jeśli nie poznawaniem życia i ludzi? Ciągłe przychodzą mi na pamięć słowa z listu Czechowa do Gorkiego: „Drogi Aleksieju Maksymowiczu, po mojemu dostatecznie długo jeździłeś trzecią klasą. Pora pojeździć pierwszą, to jest niezbędne dla Waszego życia i Waszej pracy”.

Najchętniej zamieszkalibyśmy we Wrocławiu. I Felicji i mnie bardzo się to miasto podobało. Wrocław ma przed sobą przyszłość, a dla nas przyszłość najważniejsza. Nie było innej rady, jak wybrać się w podróż i rozetrzeć się trochę po świecie.

— Pojeżdż na kilka dni do Wrocławia, a jeśli tam nie nie wskórasz, rusz dalej, do Warszawy i Łodzi. Ja tu z chłopcami będę czekać na dobre nowiny od ciebie.

Wyjechałem z Piechowic w końcu sierpnia. O tej porze zaczynają się tutaj najpiękniejsze dni. Schyłek lata i początek jesieni. Za stacją sześciorzędne tople, pochylając lekko wierzchołki pod wpływem wiatru. Słońce stoi wysoko nad Karkonoszami i obsypuje całą kotlinę jeleniogórską świetlistym blaskiem. Jest cicho i spokojnie.

DROGI JAN KOPROWSKI W PRZYSZŁOŚĆ

nie swoich kwalifikacji — była pewna, że jest na najlepszej drodze na świecie.

Gdy pokazywałem matce moje szpargały, zapisane drobnym piśmem kartki po wieści, nie mogłem oprzeć się uczuciu, że patrzy na to wszystko z przerażeniem. Podziwiał, ale się bał. Szanuje, ale nie rozumie. Wiedziała jednak, że z drogi tej się nie cofnę i zaprzestała ze mną rozmów na podobne tematy. Czasami tylko lubiała powiedzieć, ot tak, jakby od niechcenia, jakby w przestępie: „Z niedowiarkami to jak z garbatymi — dopiero mogli ich wyprostować”. Była to aluzja nie tylko do mojej postawy religijnej, do moich zainteresowań w ogóle i do tego stylu życia, którego nie uznawała i którego się bała. Gdy chwyciła dzieci nasze na ręce i przyglądała się do piersi, całowała w mojej obecności, wiedziałem, że kryje się w jej postępowaniu jakiś niemy wyrzut pod moim adresem, może nawet coś w rodzaju ostrzeżenia. Nieraz patrzac na jasne główki naszych synów, mawiała:

Jak małe — to czes, jak duże — to strzeż, a potem oddasz komu i pójdziesz z domu.

Nie wiem, może jestem przewrażliwiony, ale i w tych jej słowach dopatrywałem się ukrytych uwag, skierowanych w moją stronę. Dobrze, kochane matczyńsko! Byłem już człowiekiem dorosłym, miałem własną rodzinę, a ona wciąż martwiła się o mnie, jak wów-

czas, gdy był mały i gdy o własnych siłach nie potrafił wdrapać się na krzesło. Coraz częściej myślałem o tym, by się stąd wyprowadzić. Nie żebyśmy się czuli tutaj źle. Byłem pewny, że nigdzie nie będzie nam już tak dobrze jak w Piechowicach. Nigdzie nie dostaniemy tak pięknego mieszkania i żaden dom

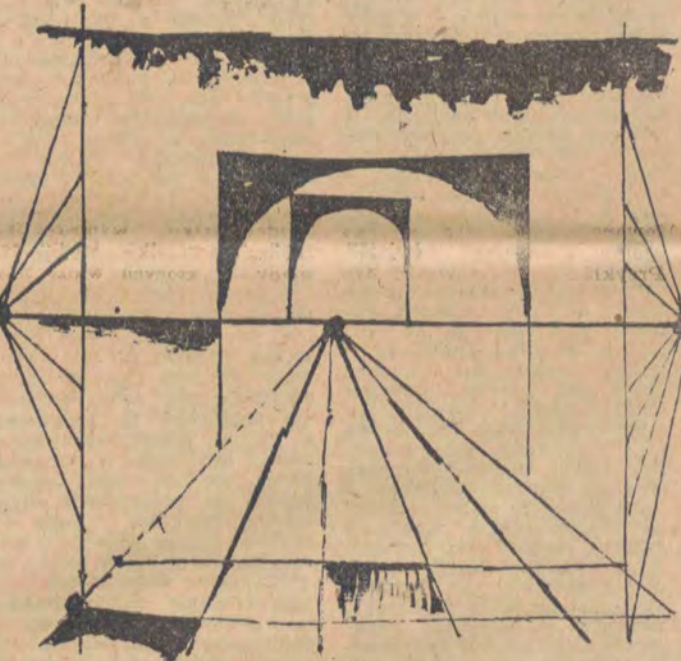
nie rozłoży przed nami takich krajobrazów. Nigdzie rzeka nie będzie tak szumieć i jodły nie okazać się tak strzeliste. Miałem w oczach obraz Jacka, który ubrany w białe futerko z królików, potrafił stać godzinami w czasie deszczu pod świerkiem, a gdy chcieliśmy go zabrać do domu — protestował głośnym płaczem. Było coś zastanawiającego w tym jego zachowaniu. Patrzyliśmy przez okna jak stoi wśród zielonych świerków nieruchomo, patrzy w jeden punkt i słucha. Z pewnością słuchał deszczu, jak szeleści wśród drzew, jak spada wokół świerka, zostawiając coraz mniej suchego miejsca wokół. Jacek podsuwał się bliżej pnia, znowu nieruchomieł i patrzył przed siebie. Gdzieś znalazł on takie miejsce do stania?

Jeszcze nie wiedzieliśmy, dokąd wyjedziemy, jak się urządzimy i kiedy to wszystko nastąpi, a już oplakiwaliśmy nasz wyjazd i martwiliśmy się niejako na zapas. Żal nam było ojca i matki, braci i siostr, szwagrow i znajomych, żal Mierników i Labana, żal spacerów do Szklarskiej Poręby i odwiedzin u Wlastimila Hofmana. Żal cmentarza, na którym leży Karol Hauptmann i tych grobów w Piechowicach, gdzie tyle kryje się historii, żal gór, wschodów i zachodów słońca i tego wszystkiego, co jest, a czego opisać niepodobna.

Ojciec jakby zmiarkował,

pociągu, w sklepie, w poczekalni. Pomyśleć: wymordowano sześć milionów ludzi, a tak się zdaje, jakby jeszcze narodu przybyło. Czy wam to źle w Piechowicach? Jak wam brakuje pieniędzy, to pożyczysz u każdego. Gdzie indziej nie będzie tak łatwo. Ja na twoim miejscu to bym się tak bardzo nie śpieszył.

Alę ja się nie śpieszyłem. Decyzja dojrzewała we mnie powoli. Wiedziałem, co utracę, a nie wiedziałem, co zyskam. O zmianie miejsca myślałem nie tylko ze względu na naszych synów. Marzyłem, by dać im jak najlepsze wykształcenie, by od dzieciństwa otoczyć ich tym, co pobudza i rozwija osobowość ludzką. Nie chciałem, by chowali się jak jak ja, z dala od dobrodziejstw kultury i cywilizacji. Prawda, moje dzieciństwo przypadło na czasy wyjątkowo ciężkie. Ale że wzrastałem w małym prowincjonalnym mieście, wydawało mi się, że wszystkie małe osiedla na świecie są takie same. Kolejną jechałem po raz pierwszy mając lat czternaście, do kina chodząc raz na pół roku, telefon był aparatem wielce skomplikowanym i niedostępnym, nigdy mnie nie fotografowano w dzieciństwie i nie mam żadnego zdjęcia z tamtych lat. Nasi chłopcy żyją w zupełnie innym świecie, a jednak pozostał mi uraz i kompleks prowincji, i nie mogę pozbyć się uczucia, że grozi im to samo, co mnie w czasach



MAREK

WAWRZKIEWICZ

ODWAŻNYCH CIĄGLE BRAK

Czego by się nie zarzuciło artykulowi Andrzeja Makowieckiego („Kto się odważy?” Odrogłosy nr 18), nie sposób mu odmówić celności. Artykuł ten trafia w problem, którego rozważania — i to rozważania jak najszybszego — należy sobie gorąco życzyć. Zmowa milczenia wokół spraw łódzkiej muzyki tylko bardzo rzadko jest przezywana poważnym, problemowym artykułem. Chronienie kwitowanie milczeniem wydarzeń muzycznych różnego formatu powoduje nie tylko tzw. „złą krew” w środowisku muzyków, ale przede wszystkim może się katastrofalnie odbić na nie najwyższym poziomie zainteresowania muzyką i tak szczytnym rzesz odbiorców. Poza tym to prasowe milczenie wywołuje jeszcze skutki tyl-

ko z pozoru uboczne: powoduje powstawanie plotki. A właśnie klasyczna plotka zawiera omawiany artykuł.

Makowiecki nie ma własnego zdania o poziomie artystycznym naszej Filharmonii, powtarza więc tylko opinie nieokreślonych osób i rozważa w stylu „co by było, gdyby rzeczywiście tak było”. Ten brak własnego zdania w zasadniczej dla artykułu kwestii można by jeszcze darować, gdyby nie fakt, że autor „darował sobie” również trud zebrania rzeczowych materiałów i, że w tej sytuacji tylko plotka jest podstawą jego rozważań. Zaczniemy więc od informacji o faktach.

Różnie można osądzać poziom artystyczny zespołu orkiestrowego Filharmonii Łódzkiej. Opinie szeregu wybitnych muzyków, dyrygentów i solistów występujących w Łodzi, nie należąca wcale do kategorii grzesznościowych komplementów mówią, że orkiestra nasza jest jedną z najlepszych w Polsce. Twier-

dzi tak w ostatnim czasie muzykę tej miary co Chaczaturian, Rostropowicz czy Horwath. Ci dyrygenci, którzy dyrygowali naszą orkiestrą przed paroma laty i obecnie, bardzo wyraźnie, na podstawie konkretnych przykładów mówili o podniesieniu poziomu artystycznego. Ważne również jest zdanie dyrygenta, który od osmiu lat dyryguje naszą orkiestrą — Stefana Marczyka. Nie będąc jednak przytyczką, aby nie być posądzonym o subiektywizm. Sens jednak tych wszystkich — najbardziej przecież miarodajnych — wypowiedzi jest ten sam: nie może być mowy o obniżeniu się poziomu artystycznego. Miło wszystko, mimo że jeszcze bardzo niedawno nasz zespół stał na dziewiątym miejscu w Polsce pod względem wysokości uposażeń, czego skutkiem był wyjazd kilku muzyków do miast, gdzie oferowano im lepsze płace i lepsze mieszkania (Warszawa, Poznań).

Bezpośrednim następstwem

stwierdzenia obniżenia artystycznych lotów są smętne rozważania na temat obniżenia się frekwencji. I one jednak nie mają podstaw. Henryk Czyż, od którego wyjazdu z Łodzi — jak sugeruje artykuł Makowieckiego — datuje się upadek Filharmonii, opuścił nasze miasto w roku 1960. A oto kilka cyfr, które określają frekwencję. W roku 1958 na 83 koncertach było prawie 46.000 słuchaczy, w 1959 na 84 koncertach prawie 50.000, w 1961 r. 82 koncertów słuchało 48.000 ludzi, a w 1962 84 koncertów 57.000. Nie ma więc powodów do rozpacz, tym bardziej że nawet średnia frekwencja w sali przy Narutowicza uważano ty w Szczecinie, na Śląsku, czy w Poznaniu za wielki sukces. Oczywiście, ta frekwencja — wyższa niż średnia krajowa — nie zadowala. Mimo od lat prowadzonej pracy „od podstaw” (koncerty popularne, rozrywkowe, audycje dla młodzieży szkolnej) ciągle jeszcze nie można mówić, że wychowaliśmy sobie młodych

słuchaczy. Ale na przykład: Na sali byłoby komplety, gdyby nie znana awersja do muzyki poważnej młodzieży uczącej się w szkołach... muzycznych. Nie byłoby też obaw o kompromitację, gdyby nie przedziwne gusty łódzkiej publiczności, która tłumnie nawiedzając koncerty przeciętne, nie przychodzi na występy artystów wybitnych, znanych na całym świecie. Trzeba jeszcze wziąć pod uwagę młotanie się kierownictwa artystycznego Filharmonii między obawą zrażenia zwolenników muzyki współczesnej, a obawą stracenia względów tych melomanów, którzy uznają tylko muzykę kilku tarych, wielkich mistrzów. Do niedoganiionych tajemnie należy na przykład fakt, że w Łodzi „nie chodzi się na Szymanowskiego”. Do tych łódzkich trudności dodajmy jeszcze politykę Pagartu, która „radykalnie rzecz biorąc, uniemożliwia opracowanie planów sezonowych. Wszystko to tylko częściowo obrazuje warunki, w jakich pracuje i sprze-

daje swoją sztukę Filharmonia. Ale tym bardziej trzeba cenić jej osiągnięcia artystyczne. Potrafię sobie wytłumaczyć jednak przyczynę powstania plotki. Henryk Czyż, doskonały muzyk, cieszył się wielką popularnością łódzkiej publiczności. Znał się jako skłonnym do eksperymentowania, do oratoriów i „dział wielkich” — takich, których wykonanie wymaga chóru i wielu solistów. Kierował ponadto naszą Filharmonią w okresie, kiedy panował w Polsce urodzaj na wielkich solistów zagranicznych. Ponieważ w dodatku pamiętamy, przeważnie rzeczy przyjemne, wspomniamy nie bez racji tamte czasy jako okres świetności muzycznej Łodzi. Racja jednak kończy się w miejscu, kiedy zapominamy, lub nie chcemy mówić o wybitnych

str. 4

odgłosy

Dalszy ciąg
na str. 11

Świat pędzi z zawrotną szybkością ku wielkiemu milowemu słupowi historii, jakim będzie rok 2000. To zdanie wypowiedział prof. Fritz Baade — zachodniemiecki ekonomista, kierownik Katedry Gospodarki Światowej na Uniwersytecie w Kolonii. Powtórzy również inne pytanie niemieckiego ekonomisty: jaki będzie świat roku 2000? Odpowiedź nie ma w sobie nic z wernowskiej fantazji. Matematyczne wyliczenia, obraz świata wypracowany w gabinecie naukowca, chciałoby się rzec — w laboratoryjnej próbce.

I jeszcze jedno: od roku 2000 dzieli nas niespełna 37 lat. Jeżeli nie ty sam czytelniku, to na pewno twój syn lub córka będą żyli w takim właśnie świecie...

ILU NAS BĘDZIE?

Ilu — znaczy w tym wypadku ile miliardów. Prof. Fritz Baade utrzymuje, że około roku 7000 przed naszą erą liczba mieszkańców całego globu wahała się w granicach od 5 do 20 milionów ludzi. Na początku naszej ery glob ziemski zamieszkiwało już 160 milionów, a wtedy, gdy na ziemiach słowiańskich zaczęło się formować państwo Mięszka I wszystkich Ziemi nie było więcej aniżeli 320 milionów. Dajmy sobie dalsze wyliczanie i przejdźmy do dnia dzisiejszego. Publikacje Organizacji Narodów Zjednoczonych, których autorami są najlepsi demografowie świata określają obecnie zaludnienie globu na 2,7 miliarda osób. I dodają zaraz jednym tchem — w roku 2000 będzie nas żyło na świecie ponad 6 miliardów!

W ciągu 37 lat niemal potroi się liczba mieszkańców Ziemi!

Złożą się na to bardzo różne przyczyny, wśród których niepoślednie miejsce zajmuje spadek tzw. stopy zgony, a szczególnie zmniejszenie się umieralności niemowląt. Jak wielki krok naprzód zrobił współczesny świat w tej dziedzinie świadczy przykład podany przez niemieckiego ekonomistę w jego książce — jednej z największych sensacji wydawniczych roku 1961, opublikowanej w Hamburgu — zatytułowanej „Rok 2000 — ku czemu zmierza świat?”. Przykład ten pochodzi z Anglii z lat 1666-1714. Na trojne zasladała wtedy królowa Anna, podobno szczęśliwa żona, osoba otoczona najlepszą jak na owe czasy opieką lekarską i warunkami. Powiła 17 dzieci. Tylko jedno z nich przeżyło wiek niemowlęctwa. Zmarło mając lat 11.

Higiena, zdobycie nowoczesnej nauki, masowa oświata, poprawa warunków materialnego bytowania są i będą nadzi motorami tego gwałtownego rozwoju ludzkości.

Prof. Fritz Baade postawił w tym miejscu jeszcze jeden pytanik. Obliczył, że w krajach kapitalistycznych żyje obecnie 0,77 miliarda ludzi, w państwach socjalistycznych 1 miliard i w słabo

rozwinętych — następny miliard. Jak te proporcje będą się kształtowały za lat 37?

Niebagatelny problem socjologiczny, polityczny i gospodarczy. I odpowiedź: w roku 2000 ulegną one zupełnej przemianie. Na tzw. „zachodzie” liczba ludności nie przekroczy granicy 1,2-1,5 miliarda, natomiast w krajach socjalistycznych osiągnie 2,6 miliarda, a w grupie państw nierozwiniętych powinna dojść do 2,4-2,6 miliarda. Prof. Fritz Baade choć mieszka w Niemieckiej Republice Federalnej umie być obiektywny. Dlatego w komentarzu dodaje: „W krajach słabo rozwiniętych istnieją siły wewnętrzne, które mogą je pchnąć na drogę komunizmu”. Państwa socjalistyczne liczyłyby wtedy 4,8-5,2 miliarda mieszkańców. Natomiast „zachód” zaledwie 1-1,2 miliarda.

GLÓD CZY DOSTATEK?

Ponad 6 miliardów ludzi. By móc wykarcić tę liczbę „gęb” świat musi do roku

KRZYSZTOF POGORZELEC

Ilu nas będzie? Czy staruszka ziemia wyżyć zdoła nowe miliardy jeżeli już dziś dwie trzecie ludzkości cierpi głód? Dokąd zmierza człowiek?

2000 przynajmniej potroić produkcję żywności. Czy jest to możliwe?

Wielu temu zaprzecza. Znaną teorią Malthusa żongluje widmem powszechnego głodu i niedostatku wynosząc na piedestał wszelkie środki zagłady, w których widzi skuteczną tamę przed powszechnym głodem i nadmiernym liczbowym rozwojem ludzkości.

Najnowsze i bardziej rzetelne badania obalają te pesymistyczne prognozy. Przede wszystkim można skutecznie przeciwdziałać temu widmu powszechnego głodu poprzez znaczne zwiększenie obszarów obecnie uprawianych. W tej chwili tylko jedna dziesiąta część ładu stałego globu zajmuje grunty orne, sady i plantacje oraz inne tereny wykorzystywane przez rolnictwo. Samym tylko kosztem pastwisk oraz łąk można przysporzyć rolnictwu światowemu kilkaset milionów hektarów. W grę wchodzi także obszary określone przez Światową Orga-

nizację do spraw Wyżywienia jako „tereny” niewykorzystywane, a nadające się do rolnictwa, dla celów produkcyjnych.

Największe jednak rezerwy kryją się w obszarach dziewiczych lasów oraz dzungli. Zajmują one na świecie blisko 4 miliardy hektarów. Ze człowiek może sięgnąć po nie, świadczy przykład zaczerpnięty z Azji. Rząd Republiki Indonezji powiększył na Jawie w ciągu niewielu lat obszary zasiane ryżem — podstawowym produktem żywnościowym ludów Azji — o ponad 1/3, przy czym dawniej pleniła się tam dzungla. Takie same szanse dają mieszkańcom tego kraju Wyspy Borneo i Sumatra, bardzo rzadko zaludnione. Podobnie wielkie rezerwy żywnościowe kryją się w dziewiczych stepach i puszczach Ameryki Południowej i Australii. Człowiek powinien po nie sięgnąć i musi po nie sięgnąć, jeżeli nie chce być głodny.

Ale nie tylko w obszarach obecnie niewykorzystywanych przez rolnictwo dla

celów produkcyjnych kryją się gigantyczne zasoby żywnościowe. Aż się wierzyc nie chce, że na 350 milionów istniejących na świecie gospodarstw rolnych, około 250 milionów posiada się przy uprawie jedynie najprymitywniejszymi narzędziami — motyką, drewnianym radłem takim samym plugiem. Prof. Fritz Baade w swojej książce dodaje: „Narzędzia rolnicze używane jeszcze obecnie na olbrzymich obszarach Azji i Ameryki Południowej niewiele się różnią od plugów i innych narzędzi rolniczych, które znamy z prehistorycznych rysunków skalnych pochodzenia egipskiego i babilońskiego”.

Ogromne możliwości dla człowieka w jego walce o zwiększenie środków spożywczych kryją się w nowoczesnym przemyśle, który może pośpieszyć z pomocą rolnictwu. Tak mówią eksperci przed wszystkimi na myśli wydanie bardziej zdecydowanej walki wszelkiego rodzaju szkodnikom, które — jak np. szarańcza, stanowią prawdziwą plagę dla wielu rolniczych obszarów świata.

Współczesne rolnictwo w minimalnym stopniu wykorzystuje również jeszcze i inne naturalne bogactwo przyrody, które może pomnożyć wielokrotnie zbiory pól rolnych — wodę. Jedną z największych rzek Afryki — Nil — jest tylko w minimalnym stopniu wykorzystywana, a toczy swoje wody przez obszary albo na pół pustynne lub też wśród płasków pustyni Sahary. Podobnie jest z takimi rzekami jak Eufkrat, Tygrys, Ganges czy Indus, które przez ludzkość są wykorzystywane również w minimalnym stopniu. Najbliższe dziesięciolecie powinno przynieść jednak zdecydowaną odmianę w tej dziedzinie. Jak twierdzi niemiecki ekonomista, opierając się na wieloletnich planach inwestycyjnych Związku Radzieckiego oraz Chińskiej Republiki Ludowej, w tych właśnie krajach rozpocznie się wielkie przygotowania do pełnego wykorzystania zasobów wodnych dla powiększenia produkcji żywności na świecie. Tak np. w Związku Radzieckim rozważana jest realizacja wielkiego projektu, w myśl którego w Syberii powstałoby wielkie wewnętrzne morze. Projekt ten wychodzi z założenia, że wielkie rzeki syberyjskie — Ob i Jenisej toczą swoje wody bezużytecznie do Oceanu Lodowatego, a można, by je wykorzystać dla nawodnienia południowych pustyn-



ŚWIAT - ROK 2000

nych obszarów Związku Radzieckiego zwanych Głodnym Stepem. Podobne wysiłki czyni Chińska Republika Ludowa, która zamierza wykorzystać swoje ogromne rezerwy, a szczególnie Jang-Tse i Huang-Ho. Ze nie są to tylko teoretyczne projekty, świadczy wynik osiagnięty przez Chińczyków w nawadnianiu pustynnych dotąd obszarów. Na przestrzeni lat 1952 do 1960 wzrosły one z 21 mln hektarów do 56 mln hektarów.

Prawdziwym jednak skarbem żywnościowym ludzkości są ocean. Prawdą jest, że współczesny człowiek tylko w minimalnym procencie wykorzystuje nieprzebrane zasoby ryb, a połowy skupiają się w tej chwili głównie na półkuli północnej. Wielkie obszary wokół Afryki są w ogóle niewykorzystywane. To samo ma miejsce z południowymi połaczeniami morza oblewających kontynent azjatycki. A przecież ciepłe tamtejsze wody są doskonałymi basenami dla rozwoju wszystkich gatunków ryb jadalnych przez człowieka. Zresztą rybołówstwo nie jest jedyną drogą do uzyskania przez człowieka dodatkowych mas środków żywnościowych. Już od dawna amerykańskie uniwersytety i instytuty naukowe prowadzą doświadczenia nad „przemysłową” hodowlą różnych gatunków wodorostów — alg. Jeden z gatunków alg — chlorella — może być niezwykle bogatym źródłem dla produkcji protein oraz tłuszczów, bijącym na głowę takie tradycyjne uprawy „tłuszczowe” jak fasola, soja oraz orzech ziemny. Z jednego hektara alg można uzyskać około 6 ton tłuszczu, gdy np. z uprawy 1 hektara orzecha ziemnego tylko 0,350 ton tłuszczu.

Człowiek może więc wyjść zwycięsko z walki z widmem głodu i powszechnego niedostatku. Może nie tylko zaspokoić potrzeby żywnościowe miliardów ludzi, którzy urodzą się w ciągu nadchodzących 37 lat, ale równocześnie poprawić stan żywienia odnotowywany przez statystyki Organizacji Narodów Zjednoczonych w latach sześćdziesiątych naszego stulecia.

NIEWOLNICZY CZŁOWIEKA

Wysięg do roku dwutysięcznego trwa. Odbija on się nie tylko na płaszczyźnie rolniczej, w pogoni za żywnością, ale także, może nawet

przede wszystkim w dziedzinie przemysłowej. I tutaj prognozy są chyba najbardziej rewelacyjne. We współczesnym świecie dominującą rolę w zakładach przemysłowych zajmuje człowiek o skórze białego koloru. Za 37 lat będzie już jednak inaczej. Większość maszyn i urządzeń znajdzie się w rękach człowieka kolorowego. Ekonomista niemiecki z dużym zalem, ale równocześnie szczerością podkreśla, że zajądą jeszcze inne zmiany strukturalne w tej dziedzinie. W roku dwutysięcznym w państwach socjalistycznych około 500 do 600 milionów ludzi będzie zatrudnionych w przemyśle. W tych krajach, które mienia się w tej chwili „Zachodem”, tylko 200 milionów ludzi będzie codziennie stawiało maszyn.

Padło słowo — maszyna. Jak twierdzi Fritz Baade, najbliższe 10-lecie przyniesie ludzkości najwyższą w dotychczasowej historii świata koniunkturę inwestycyjną. Nie jest to tylko jego wyłączone zdanie. Były szef wywiadu amerykańskiego — Allen Dulles w swoim raporcie złożonym rządowi Stanów Zjednoczonych w roku 1959 tak lakonicznie stwierdził: „Produkcja przemysłowa USA poczynawszy od roku 1950 wzrasta średnio tylko o 3,6 proc. rocznie. W tym samym czasie analogiczne wskaźniki odnoszące się do Związku Radzieckiego kształtują się na poziomie 9-10 proc.”

Ten sam Allen Dulles w wykładach wygłoszonych przed słuchaczami Uniwersytetu Amerykańskiego w Princeton podkreślał, że w Związku Radzieckim co roku przeznaczano około 30 proc. całego produktu społecznego na inwestycje o charakterze przemysłowym, gdy w USA tylko 17-20 proc. Szef wywiadu amerykańskiego z goryczą dodawał: „Podczas gdy my, Amerykanie, wytwarzamy rocznie 50 razy więcej samochodów niż Rosjanie, to Rosjanie produkują cztery razy więcej obrabiarek niż Amerykanie”.

Te lakoniczne słowa podkreślają ogromny wysięg jaki trwa we współczesnym świecie zmierzającym do roku dwutysięcznego w dziedzinie nie tylko „żelaznych rumaków”, lecz przede wszystkim „niewolników człowieka” — maszyn produkujących... nowe maszyny. Ten wysięg ma również przynieść ludzkości, tej która będzie żyła na naszym globie za lat 37 więcej materialnych dóbr, likwidować wid-

mo „nowoczesnej” nędzy, które tak plastycznie nakreślił w XVIII wieku Malthus.

ADMIRAL RICKOVER DONOSI...

Ten wielki wysięg do świata roku dwutysięcznego trwa również i na innej płaszczyźnie. W dniu 10. VIII. 1959 r. na łamach amerykańskiego dziennika „New York Times” zabrał głos wiceadmirał Rickover — ojciec amerykańskich łodzi podwodnych, który dzielił się z czytelnikami tej gazety wrażeniami z pobytu w Związku Radzieckim. Największym zaskoczeniem dla czytelników tych relacji musiało być to, że w roku 1957 w samym tylko Związku Radzieckim opuściło uczelnie średnie 1.600 tys. absolwentów i złożyli oni takie egzaminy, z takiego zakresu wiedzy, że spośród amerykańskich absolwentów szkół średnich z tej próby wyszłoby obronna reka jedynie... 2 proc. uczniów.

Tym wielkim osiągnięciem w dziedzinie upowszechnienia już nie masowej, ale często nader specjalistycznej i ściślejszej wiedzy towarzyszą inne wysiłki zmierzające do uzbrojenia znacznej części współczesnego społeczeństwa światła w potężną broń nauki. W Związku Radzieckim przeznaczano się co roku około 10 proc. dochodu narodowego na prace naukowo-badawcze. Ten sam wskaźnik dla Niemieckiej Republiki Federalnej wynosił tylko 5 proc. Nie dziwnego, że ten dystans wywołuje w wielu ludziach z „zachodu” poważny niepokój. Cytowany już raz amerykański dziennik „New York Times” przeprowadził wywiad z 50 uczonymi amerykańskimi, z których wynikało, że sa oni zdania, iż nauka w Związku Radzieckim czyni znacznie szybsze postępy aniżeli w USA. To tłumaczy wielki krok i postępek, przodownictwo świata, który profesor Fritz Baade określa mianem „komunistycznego” choćby w dziedzinie badań kosmicznych. Ale to tylko fragment, fragment, który jednak podkreśla... resztę.

Wysięg trwa. Wysięg do świata, w którym być może i Ty, Czytelniku, będziesz żył i pracował.

odgłosy str. 5



MAŁY BAFDEKER UCZESTNIKÓW FESTIWALU ŁÓDZKIEGO

STUDENCKI TEATR POLITYCZNY (SZCZECIN). Istnieje dwa lata, zainaugurował swoją działalność w styczniu 1961 r. wystawieniem programu „Requiem”. Scenariusz widowskiej opary został napisany przez Goeringa i innych przywódców nazistowskich, na fragmentach utworów Brechta, Broniewskiego, Tadeusza Borowskiego. „Requiem” zostało wznowione specjalnie na festiwal łódzki. Teatr szczeciński przywozi także najnowszy program — „Ja lubię ciebie, żyję” — przegląd twórczości „nowej fali” poetów radzieckich. Zespół Teatru Politycznego liczy 15 osób, studentów Politechniki i Akademii Medycznej. Kierownikiem artystycznym jest szczeciński dziennikarz — Andrzej Androchowicz.

„STEP” (GLIWICE). Również jeden z młodszych teatrów studenckich. W czasie dwuletniej działalności przygotował już 7 przedstawień. Na festiwal przyjeżdża z ostatnią premierą — „Świadkowie, albo nasza mała stabilizacja” Stanisława Różewicza. W „STEP-ie” pracuje 20 studentów Politechniki Śląskiej, studentem jest także kierownik artystyczny teatru — Władysław Karłowicz (III rok wydziału budownictwa przemysłowego). Po premierze „Świadków”, kierownictwo literackie teatru objął na stałe Stanisław Różewicz.

„TEATR 38” (KRAKÓW). Jedyny w swoim rodzaju nie tylko wśród teatrów studenckich, lecz również w „Polsce teatralnej” w ogóle. Dramatyczny, eksperymentalny. W ciągu siedmiu lat istnienia zdobył przyswoić scenie polskiej najciekawsze pozycje współczesnego dramatu europejskiego — Becketta, Adamowa, Ghelderode’a i innych. Beckettowska „Ostatnia taśma Krappa” miała tu swoją prapremierę... światową.

Teatr założyła grupa studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego pod kierunkiem Ireny Wollan i Waldemara Krygiera. W ciągu kilku lat istnienia „Teatr 38” dopracował się własnej sali, własnego studium aktorskiego, stał się instytucją. Uznany za jedną z najciekawszych scen krakowskich, przygotował już około 20 premier. Grywa regularnie i nieczym właściwie nie różni się od teatru zawodowego, poza jednym — „drobiazgiem” — występują w nim amatorzy. Co potrafią? Zobaczcie sami. Niektórzy lodzianie oglądali już wreszcie „Kołowrot” Becketta podczas wizyty teatru w naszym mieście przed pięcioma laty. Tym razem „Teatr 38” zaprezentuje w Łodzi 2 spektakle — „Listy do Mileny” — Franza Kafki oraz „Króla Edypa” Sofoklesa.

„HYBRIDY” (WARSZAWA). Znany w kraju ze swoich ciekawych przedsięwzięć. Centralny Klub Studencki „Hybrydy” skupił ostatnio 50-osobową grupę akademików „opiekowanych” teatrem. Jesienią 1962 r. prasa doniosła o premierze kabaretu literackiego „Hybrydy”. Program nosił tytuł „Radosna geja stabilizacji” i był krytyką gnuśności, aseku-rancetwa. Na festiwal „Hybrydy” przywozi drugi już program kabaretu — „Ludzie to kupia” — gra spektakl pantomimy „W uliczce świata” (szary człowiek wobec „niszczącej” cywilizacji).

Kieruje teatrem student socjologii Wyższej Szkoły Nauk Społecznych — Jan Pietrzak. Zespół w 80 procentach składa się ze studentów wszystkich uczelni warszawskich. Pozostali, to już absolwenci.

BUNTU ZAKÓW CIĄG DALSZY



Dziewczyna z „Pstrąga”

Teatry - trybuna studencka

MÓWI MARIAN GRZEŚCZAK Z KOMISJI KULTURY RADY NACZELNEJ ZRZESZENIA STUDENTÓW POLSKICH:

♦ W szesnastu środowiskach akademickich pracuje aktualnie 90 teatrów studenckich. Najsilniejszymi ośrodkami są — Gdańsk, Łódź, Wrocław, Kraków i Warszawa.

♦ Czynnie uczestniczą w tym ruchu około 2 tysiące studentów i absolwentów. Przedstawienia teatrów studenckich w ciągu roku ogląda około 300 tysięcy widzów. W 40 procentach są to widzowie spoza środowiska akademickiego. Teatry studenckie powstawały poczynając od roku 1952, ale szczególnie бурлиwy ich rozwój datuje się od czasu festiwalu krakowskiego w roku 1958. Nie ma mowy o żadnym kryzysie teatrów studenckich, jak to niekiedy usiłuje sugerować prasa.

♦ Mamy już około 10 teatrów pantomimy, ta forma zdobywa sobie coraz wię-

cej zwolenników. Poszukiwania formalne są zresztą nieodłącznym atrybutem działalności STS-ów. Na przykład niedawno powstał w Gdańsku nowy teatr studentów Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych pod nazwą „Galeria”, który „ożywia” na scenie formy malarzkie. Jesienią w Szczecinie zorganizujemy specjalny festiwal studenckich teatrów eksperymentalnych.

♦ Rysuje się wyraźne dążenie do „teatru integralnego”. Każdy teatr ma ambicję stworzenia własnego zespołu autorów, kompozytorów i scenografów. Ostatnio zaczynają także powstawać własne studia aktorskie (prowadzi takie studio Teatr 13 Rzędów w Opolu dla słuchaczy tamtejszej Wyższej Szkoły Pedagogicznej, prowadzi Rada Okręgowa ZSP w Lublinie, itd.).

O masowości ruchu świadczy fakt, że zespoły teatralne powstają już nawet na wydziałach czy w poszczególnych domach akademickich. Ta forma wypowiedzi ideowej i artystycznej zyskała sobie olbrzymią wręcz popularność.



Zdjęcie to jest dowodem istnienia „grup nieformalnych”. Przedstawia fragment próby programu „Kraj na Ziemi” w „Pstrągu” wiosną 1958 r. Od prawej: Krystyna Lobza-Wileczkowska — plastyk, do dziś pracuje w „Pstrągu”. Ryszard Ronczewski, Janusz Stowikowski i Jan Skolnicki.

(Dalszy ciąg ze str. 1)

cjonalnych środowisk akademickich „wybuch” z własnymi teatrami bulwersującymi miejscowe społeczeństwo.

Teatry krzepną. Ich siła to nie tylko idea walki, nie tylko umiłowanie sztuki, nie tylko przyjaźń i przywiązanie osobiste wśród kręgu ludzi, którzy teatr tworzą, kręgu, który socjologowie nazywać zechcą „grupami nieformalnymi”. Ich siła to także wzajemne, międzyśrodowiskowe kontakty, znajomości, festiwale, spotkania, dyskusje.

Administracyjnie na czele ruchu staje Zrzeszenie Studentów Polskich, ale koncepcje twórcze wychodzą tylko od zespołów. Zrzeszenie staje się więc nie tyle inspiratorem ruchu, co uczniem i zdumionym nieco mecenasem, na którego adres wpływają raz zaszczytne komplementy, a pięć razy reprimendy.

Mijają lata. Dokonuje się wśród teatrów studenckich pewna ewolucja w dziedzinie formy i zainteresowań tematycznych. Od teatru jakobińskiego, od satyry, paszkwilu używanego dla służnych celów społecznych do groteski filozoficznej, parodii, żartu — nonsensu. Obok tradycyjnych STS-ów pojawiają się studenckie kabarety. Sukcesy święci warszawska STODOLA, krakowska PIWNICA, i gdański TO-TU. „Po straszliwym pożarze, w którego huczących płomieniach znalazła śmierć osobista garderoba, nieodżałowany koń Siza i kasjerka” w sali Klubu Studentów Wybrzeża odbywają się przedstawienia „zwariowanego programu cyrku rodziny Afanasjewa” „TRALA-BOMBA”. Na plan pierwszy wychodzi pantomima, gest, grymas, plastyka ruchu, pełne smutku milczenie.

Te STS, które są wierne zasadom bezwzględnej zaangażowania politycznego kierują swą uwagę w stronę autentyczności. „Oskarżenia”, „Chuligani” i „Rogate dusze” to przedstawienia oparte jak reportaże na nagich faktach, na protokołach, ulotnych piosenkach, listach do wielu redakcji i Fali 56. W autentyczności jak w lustrze ma się pokazać twarz tego kraju. Jednak apetyt widowni STS, widzowni, której właśnie same teatry nauczyły wybredności, rośnie w miarę jedzenia...

Prasa też jest łakoma. Kiedyś dano jej posmakować pikantnych potraw estetycznych, teraz żąda pełnych półmisek. Gdy ich chwilowo braknie, rozczarowana, pocnie snuć melancholijne rozważania o kryzysie teatrów studenckich. Tak, jakby młodzież artystyczna, nie miała prawa do wzlotów i wahań... Dzieje się tak zazwyczaj przed każdym kolejnym festiwalem teatrów. Po tem fala entuzjazmu na ogół rośnie.

Tak proszę państwa. Już ponad 10 lat trwa ten bunt zaków. W międzyczasie założyciele pierwszych, ale świetnie do dziś prosperujących scen studenckich, połączyli studia, są na tzw. stanowiskach, mają dzieci, lodówki i samochody, ale z teatrów nie odchodzą. Andrzej Wróblewski pisał kiedyś w „Życiu Warszawy”, że teatry te „sa przedłużeniem ich młodości, są ośrodkiem spotkań ludzi sobie bliskich, wzajemnie potrzebnych, nie mogących się rozstać...”.

Tak jest. Ale rosną następcy. Wokół teatrów potężnieją owe „grupy nieformalne”, złożone ze studentów i absolwentów chemii, polonistyki, elektrotechniki, mechaników, ekonomistów i lekarzy.

Coś w tym jest. Ale co? Julian BRYZS Wiesław MACHEJKO



„Cyrk” Afanasjewa, program „Białe zwierzęta”.



Brygada techniczna „Pstrąga” w akcji. Przy pulpicie aparatury czterech inżynierów elektryków. Tylko STS mogą sobie pozwolić na taki luksus personalny.

Dotychczasowe przeglądy teatrów studenckich

WARSZAWA 1955: udział brało 6 zespołów. Między innymi STS i „Pstrąg”. Pierwsze miejsce zajął gdański BIM-BOM.

WROCŁAW 1956: udział brało 5 zespołów. Jury nie prowadziło wyrażnej klasyfikacji. Sądząc po wysokości nagród można przyjąć, że zwyciężył ponownie BIM-BOM. Łódzki „Pstrąg” zdobył KADUCEUSZ — wpcjalną nagrodę „SZPILEK” za najostrejszą satyrę polityczną.

WARSZAWA 1957: przegląd niepunktowany. Zespoły występowały w kilkunastu odstępach. Udział brało 6 zespołów.

GLIWICE 1958: występowało 5 zespołów. Pierwsze miejsce zajął „PSTRĄG”, zdobywając nadto po raz drugi szpilkowy kaduceusz.

KRAKÓW 1959: przegląd niepunktowany. Między innymi brały udział warszawski STS, „Pstrąg”, „Co-To”, „Cyrek Tralabomba”. Wielki sukces „Króla Ubu” wystawionego przez warszawską „Stodolę”, zdobyła szpilkowy kaduceusz.

GDANSK 1961: największym wydarzeniem był program poetycki Studenckiego Teatru 81 pt. „Wolanie do Mungu” (murzyńska poezja ludowa). Afanasjew pokazał swój film „Białe zwierzęta”. STS otrzymał kaduceusz za całokształt działalności.



Scena z przedstawienia krakowskiego „Teatru 38”.

MAŁY BAEDERER UCZESTNIKÓW FESTIWALU ŁÓDZKIEGO

„KALAMBUR” (WROCŁAW). Właściwie trudno jest niezmierznie określić ten rodzaj teatru. Rozpoczynając działalność przed pięć laty, parali się głównie — jak większość scen studenckich — satyrą polityczną. Szybko jednak ewoluował w kierunku poetyckiej impresji. Dwa takie programy — „Pugaczow” i „Kurt”, zawarte w jednym spektaklu, przewozi „Kalambur” na festiwal łódzki. „Kurt” jest drapieżną satyrą antywojenną w brechtowskim jakby stylu.

Kieruje teatrem od początku istnienia Bogusław Litwiniec, fizyk z wykształcenia, całkowicie wszelkie oddany Melpomenie. „Kalambur” występował kilkakrotnie za granicą (Francja, Włochy, Austria, Dania) skąd przywoził zawsze pochlebne recenzje.

„CO — TO” (GDANSK). Teatr zjawisko. Wystąpił po raz pierwszy na festiwalu teatrów studenckich we Wrocławiu w roku 1956 i z miejsca został uznany za rewelację artystyczną. „Co — to” założyła 10-osobowa grupa studentów Szkoły Sztuk Plastycznych w Sopocie pod kierunkiem Romualda Frejera. Chociaż minęło od tego momentu przeszło 7 lat, skład zespołu niemal się nie zmienił. Przyjeżdża on do Łodzi z nowym programem, którego premiera odbyła się przed kilku tygodniami.

„CYREK RODZINY AFANASJEW” (GDANSK). Dziś bez wątpliwości najbardziej oryginalny spośród teatrów studenckich. Absurdalny humor i głęboki liryzm. Im więcej śmiechu podziś spektaklu, tym więcej smutku i refleksji u widza po wyjściu z teatru.

„Cyrek” powstał przed czterema laty, do Łodzi przyjeżdża ze swoim trzecim z kolei programem — „Dobry wieczór, blaznie”. Wypełnia program własnie trzy osoby — Jerzy Afanasjew, jego siostra — Alina Ronczewska-Afanasjew oraz jej mąż — Ryszard Ronczewski, znakomity mim, który zresztą rozpoczął karierę w Łodzi, grając w Teatrze Nowym i reżyserując w „Pstrągu”.

KABARET „TO-TU” (GDANSK). Powstał 4 lata temu po rozpadnięciu się słynnego „Bim-bomu”. Choć pozostali ci sami ludzie, kabaret nie kontynuuje bynajmniej „bimbomowskiej” linii programowej, jest typową sceną rozrywkową. Specjalizuje się głównie w parodiach muzycznych, do mistrzostwa doprowadził parodię najbardziej znanych piosenek zachodnioeuropejskich.

Dużo humoru, dobre sily aktorskie, to główne atuty kabaretu. Gościł on już w Łodzi, występował w Klubie Studenckim.

Tak więc festiwal da nam swego rodzaju przekrój przez wszystkie „członki” teatrów studenckich — dramatyczne, satyryczne, poetyckie itd. Przedeiluluja przed oczami widzów zespoły o wyraznych ambicjach politycznych i zespoły czysto rozrywkowe, operujące najróżniejszymi formami artystycznymi.

Poza ośmioma wymienionymi, udział w festiwalu wezmą także 3 teatry studenckie z Łodzi — „Pstrąg”, „Cytryna” oraz poetycki „Teatr Próby” przy Radzie Okręgowej ZSP. Zespoły te są na tyle „nagłe” czytelnikowi, że nie zachodzi chyba potrzeba ich przedstawiania. Wspomniłmy tylko, że „Pstrąg” podał pod ocenę jury najnowszy swój program „Rogate dusze”, „Cytryna” — również program najnowszy — „Chuliganów”, zaś „Teatr Próby” przygotowuje widowisko poetyckie osnute na wierszach i balladach świetnego średnowiecznego barda francuskiego — Franciszka Villona.

MARIAN PIECHAL

SEDNO RZECZY

ŁÓDZIANIN — to brzmi godnie

Tak zakończył swoje wywody pewien mój oponent, który polemizował ze mną przy kawiarzynie stołku na temat mego felietonu „Czy Łódź jest prowincją?” z poprzedniego numeru „Odgłosów”. Czytelnicy się domyślają, że nie mógł mi sprawić większej radości, niż tak właśnie zakończywszy swój sprzeciw. Otrzymałem także w tej sprawie listy i telefony, (za które ich autorom na tym miejscu uprzednie dziękuję), ale wszystkie one — i te polemizujące ze mną, i te całkowicie moje wypowiedzi aprobowujące — sprowadzały się do jednego: że Łódź, to owszem, ma takie i owałe braki, ale Łódzianin, to właściwie brzmi godnie, zobowiązuje.

I czyż może być inaczej? Jeżeli w mieście tak trudnym, tak opóźnionym w rozwoju cywilizacyjnym i kulturalnym, z tak straszliwie deprymującym dziedzictwem — a właściwie — przedziwnym — okrusu niewoli narodowej i niewoli społecznej czyli kolonializmu i kapitalizmu, jeśli — powtarzam — w tym mieście — niemięście, raczej chaotycznym i przypadkowo powstałym i skleconym osiedliu, raczej monstrualnie rozrosłym, jak jaki polip czy ośmiornica, osadzie fabrycznej są ludzie, którzy chcą w tej brzydkiej osadzie, w tym mieście-monstrum mieszkać stale, pracować dla niego, aby je przebudować do gruntu — ba — kochać to miasto, tak bardzo, że gotowi są dla niego poświęcić trud całego swego życia, aby je z ponurego miasta-koszmaru w przeszłości przestworzyć w jasne miasto-odród w niedalekiej przyszłości, to na te, że tak powiem, takich ludzi, nazwa Łódzianin naprawdę brzmi dość wyjątkowo.

Ci ludzie są, ci ludzie istnieją w Łodzi, oni przydają charakteru tej obliczu, głębszego sensu jej egzystencji, stanowią o jej rozwoju, znaczeniu cywilizacyjnym i kulturalnym dla kraju, nadają właściwy bieg jej historii, tworzą żywą jej tradycję, decydują o jej lepszym jutrze, są potęgą podołnego optymizmu i nieopornej nadziei na najbliższą przyszłość. Z pozycji i w imię tych właśnie ludzi wolno i trzeba wołać o lepsze dla nich w tym tak umiłowanym przez nich mieście warunki, wolno i trzeba wskazywać, co w tym mieście jest jeszcze złe, jakie czynniki przy czyniają się do jego rozwoju, a jakie go hamują, a nawet uwieczniają, wolno i trzeba przestrzegać przed groźbą uszczuplenia zespołu tych ludzi, wykruszenia się ich z szeregu aktywności, szkodliwej w skutkach na dłuższy dystans obojętności wobec opuszczania wartościowych jednostek spośród nich naszego miasta. Sro dowisko złożone jedynie z szarych, przeciętnych lub nitych ludzi będzie zawsze szare, przeciętne lub nitych. Tutaj nigdy ilość nie przemieni się w jakość. W tej dziedzinie dialektyka zawiesz swoje prawa. A cudów, jak wiadomo, nie ma.

O wartości środowiska stanowią ludzie, rozstrzyga suma wartości pojedynczych ludzi. Dla tego tak cenna jest każda twórcza osobowość, jako ognisko indukcyjne, jako źródło rezonansu inspiracyjnego dla całego środowiska. Nie ma ceny, którą warto zapłacić, aby taką jednostkę zatrzymać w środowisku — ta cena owocuje potem długo i z nadadkiem. Na tym polega cała dorazna mądrosć dalekosiężnej polityki kulturowej. Innej drogi nie ma. Trzeba wreszcie zrozumieć, że cywilizacja i kultura, to — owszem — rzeczy bardzo kosztowne, ale w których inwestycje profilują w przyszłości stokrotnie.

Niedawno odbyła się w auli Biblioteki Uniwersyteckiej uroczysta sesja naukowa poświęcona 30-leciu powstania w Łodzi legalnego pisma komunistycznego pt. „Kronika”. Jeden z jej założycieli i redaktorów zaproszony specjalnie przez łódzkich naukowców na tę uroczystość, Zenon Kłiszko, podsumował dyskusję stęgnal jako Łódzianin do swoich wspomnień o naszym mieście z okresu własnego redagowania przez niego „Kroniki”. Mówił o poświęceniu i ofiarności ludzi redagujących „Kronikę”, piszących do niej kolumnistów i kolumnistów, a także o prenumerujących ją, bo nawet to narażało na szykany i represje. Mówił o bardzo ożywionym życiu ideowo-intelektualnym w naszym mieście z tego okresu. Wspomnił łódzkich działaczy społecznych, dziennikarzy, także Witolda Wandurskiego i jego „Scenę Robotniczą”, wspomnił wiecór poetycki z udziałem Juliana Tuwima i bardzo żywotną ówczesną grupę młodych literatów. Nie wymienił, bo widać nie pamiętał, nazwy tej

grupy. Otóż była to grupa „Meta-teora”, która urządziła ów wiecór poetycki z Julianem Tuwimem jako swym protektorem na czele. Pamiętam ten wiecór „Meta-teora” i Tuwima w parku Sienkiewicza, bo byłem inicjatorem tej imprezy i brałem w niej udział. Sala licząca kilkadziesiąt miejsc nie mogła wsiąść pomieścić.

Na marginesie tych wspomnień Zenon Kłiszko wypowiedział zdanie o wielkim znaczeniu energii osobistej na wynik zbiorowego wysiłku, o potrzebie dostrzegania indywidualnego wysiłku w każdym działaniu, o charakterze społecznym. Wiadomo: wartość sumy jest wynikiem wartości jednostek, ogół zależy od szczegółu, a nie odwrotnie.

A więc, owszem, — Łódzianin, to brzmi godnie — tylko zależy kiedy i z jakiego powodu. Kiedy myśli się o Łodzi, jako mieście heroicznej walki robotników z fabrykantami, jako mieście największej ilości nieustępliwych nawet za cenę krwi strajków, jako mieście najlepiej zorganizowanego ruchu związków zawodowych, jako mieście o najwcześniejszym szkolnictwie społecznym, lecznictwie społecznym, budownictwie spółdzielczym, jako mieście o największym procesie inteligencji pochodzenia robotniczego — to wtedy nazwa Łódzianin brzmi naprawdę świetnie.

Ale kiedy się pomyśli, ile ludzi nie pamięta o tym, ile ludzi sady, że to wystarczy, ile ludzi uważa, że ich miasto, to jedynie stolica produkcji wołkienniczej, a nigdy cywilizacyjnej i kulturalnej, ile ludzi z tego powodu opuszcza Łódź i to na zawsze, ile ludzi, składających wartościowych, cennych i twórczych, mówi potem, że Łódź to takie dziwne miasto, do którego nigdy się nie tęskni i nigdy nie ma się ochoty je odwiedzić bez koniecznej potrzeby lub interesu — wtedy nazwa Łódzianin wcale nie brzmi dumnie. Przeciwnie, dla urodzonego Łódzianina, kochającego swe trudne i nieuroczne miasto, brzmi przykro i boleśnie, brzmia jak ironia.

Nie trzeba się więc dziwić, że nieraz gorzki temu daje na zewnątrz wyraz. Ale ta gorzkość nie jest nihilizmem — przeciwnie, jest uzdrawiająca, hartująca siły, obudzająca innych z gnuśnego bezwładu, z kwiecia mu i samozadowolenia, nawołująca do większego wysiłku, troski, czujności, a także ambicji, by wreszcie dać pełne realne podstawy powiedzenia, że Łódzianin, to brzmi godnie.



P.S. Pragnę jeszcze czytelnikom „Odgłosów” wyjaśnić, że do wcześniejszej polemiki z Wydawnictwem Łódzkim nie zamierzam wracać. Nie odpowiadam na mi jej ton. Wyjaśniam natomiast, że umowy w sprawie „Fabryki mojej matki” i „Miasta nadziei” zostały za mną zerwane przez Wydawnictwo Łódzkie wskutek niedotrzymania przeze mnie zbyt krótkich terminów, co w praktyce z autorem obarczonymi nawałtem prac zawodowych i społecznych często się zdarza. Inne wydawnictwa w Polsce przedłużają podobne umowy o rok, dwa, trzy, a nawet więcej. Zrywając ze mną umowę Wydawnictwo w liście z dn. 13 grudnia 1961 r. oznaczyło trzydniowy termin zwrotu zaliczki, proponując jednocześnie (przytaczam słowa listu): „w swoich planach operacyjnych priorytetowo miejsce dla „Miasta nadziei” gdybym się zdecydował złożyć ten utwór w Wydawnictwie. Kończąc pracę nad tym utworem miałem właśnie zamiar to uczynić kiedy wystąpienie p. Postolowa dotyczące tej zaliczki zmusiło mnie do cofnięcia tego zamiaru i natychmiastowego zwrotu rzeczowej zaliczki.

odgłosy str. 7



JERZY WILMAŃSKI

BIAŁYSTOK — miasto **NIETYPOWE**

Polska B — jak twierdzą warszawiacy ze Śródmieścia i Woli — zaczyna się już na Pradze. Ale choć Praga jest istotnie czymś całkowicie odrębnym od Warszawy-stolicy, dzieli ją jednak od prawdziwej Polski B jeszcze kilka godzin jazdy pociągami przez Wołomin, Małkinie do miasta o poetyckiej nazwie Białystok leżącego na idealnej równinie. A jednak kiedy się przespacerować obok drewnianych budo (już nie domków ale właśnie budo) przy hałach handlowych i za kilka minut trafić na Lipową — ulicę, jakiej Łódź na pewno nie ma — to znajdziemy w tym kontraste, banalnym na pewno, jakiś element współczesnej poetyki Białegostoku. W mieście, które przed wojną stanowiło niecodzienny czołg narodowościowy i stanowi go w większym nawet stopniu obecnie — taki sobie przeciętny kontrast: stare budki przy hałach i żywym przemiesieniu z Placu Konstytucji blok jest tu widokiem absolutnie naturalnym.

Kiedy pod adresem Łodzi, Wrocławia, Poznania padnie ze stolicy epitet prowincja — miasta te kipią oburzeniem. Białystok inaczej. Jest Polska B. Jest Polska prowincja, to, naturalne gdy istnieją centra muszą być i peryferie... Białystok nie ma kompleksu prowincji, kompleksu w tym sensie w jakim ma go Łódź. „Jesteśmy, żyjemy, pracujemy na terenach B, czyli trudnych i nie mamy powodu do wstydu z tej racji — raczej wręcz przeciwnie” — zdają się mówić białostocczanie i w końcu oni mają słusność. Oni — to znaczy ci urodzeni w Hajnówce czy Goldapi jak i ci z Łodzi, Koszalina i Wrocławia.

I tu miejsce na podwójną dygresję na temat dwu ludzi. Pierwszy z nich to — dr Henryk Smoleński — łodziński, filozof, malarz, pedagog, pracownik TPD.

Dr Smoleński mieszka w Białymstoku blisko czterech lat. Z zamiłowania i doświadczenia pedagog rozpoczął sam jeden ogromną pracę zorganizowania wolnego czasu dzieci, ujęcia ich zabaw w sensowne ramy dyskretnego nadzoru. Ostatecznie wiemy, w co z biegiem lat przetransformowała się niekontrolowana zabawa kilkunastolatków. A dzieci nie były kontrolowane. Na wsi — wiadomo — pasły krowy, pomagały w gospodarstwie. W mieście krowy nie ma, krowy zostały na wsi — niestety — przewędrowały do miasta chłopstwa mentalność. W domach wyposażonych we wszystkie urządzenia współczesnej cywilizacji otworem

stała tylko kuchnia, miejsce gdzie koncentrowało się życie rodzinne. Na wsi zostały łaki, zagajniki, stawy i rzeki. W mieście były kamienne podwórka, faktyczne ośrodki życia młodych białostoczan. W roku 1958 w tę sytuację wkroczył dr Smoleński. Najpierw batalia o własny kąt dla dziecka nie w kuchni ale w pokoju. Potem zieleń, ogródki jordanowskie, trawniki, świetlice... Potem stworzył samorządy podwórkowe i oddał to wszystko we władanie dzieciom. Dziś, w dziesiątkach samorządów grupuje się około 10 tysięcy młodych obywateli Białegostoku. Niech czytelnik łódzki nie macha ręką z lekceważeniem — dzieśnięcie tysięcy to ogromnie dużo na stuś tysięczne miasto. A cały ten młodzieżowy ruch, w którym znalazło się miejsce i na majsterkowanie, i na naukę prowadzenia pojazdów mechanicznych, i na zadziwianie przedmiotem, — jest zasługą człowieka, o którym w Białymstoku mówią per faty, ale z serdecznym usmiechem, jak o kimś kto płata sympatyczne figle.

Drugim jest Tadeusz Sokół — koszański, pisarz, dziennikarz, radiowiec, autor głośnego w pierwszych powojennych latach tomu wierszy „Pocisk i lira”, działacz, człowiek o ciekawej biografii.

Tadeusz Sokół osiedlił się tu niedawno. W kręgach literackich wiadomo, że Sokół to taki człowiek, który potrafi zaktywizować każdą literacką pustynię. Przykładał Koszalin, gdzie w krótkim czasie powstało stosunkowo prężne środowisko pisarskie, właściwie bez żadnych tradycji i ku zdumieniu miejscowych karbowych od kultury. Wtedy Sokół przetrząsnął parę set kilometrów dalej — do Białegostoku. Dziś jest tu pięciu członków Związku Literatów i dwudziestu dwu młodych piszących, niejako kandydatów do ciemnowisniewej legitymacji. Oczywiście, nie usiłuje czytelnikowi wmówić, że Sokół po prostu urodził się Jędrzejewską, Omilianowicz, Ślaska i całą resztę literacką Białegostoku. Sokół po prostu zorganizował ludzi piszących, mówiąc językiem stereotypu — zaktywizował środowisko. Jeszcze w bieżącym roku Wydawnictwo Pomorskie wyda almanach poetów białostockich. Nie jestem pewien czy będą to panegiriki na cześć Białegostoku jakie pisała 200 lat temu Elżbieta Drużbacka, a byłoby to możliwe, gdyby podobny tom wydano nakładem miejscowej Rady Narodowej. Stało się jednak inaczej i sędziwa autorka „Opisania złośliwych pór roku” pozostanie jedyną poetką sławiącą „Wersal Podlaski”.

Tych 10 już wydanych przez białostockich literatów książek nie napisał Sokół, ale dla każdego będzie oczywiste, że w tym fa-cie jest wiele jego

zasługi i pracy. W zbliżeniu dwu środowisk pisarskich polskiego i białoruskiego jest przede wszystkim dużo dobrej woli obu stron, ale to właśnie Sokół zorganizował szeroko w Białymstoku komentowane spotkanie członków Klubu Literackiego z poetami białoruskimi i wspólny wieczór autorski... itd. itd.

Za rok lub dwa kiedy środowisko białostockie okrzepnie, Sokół być może spotka my w Rzeszowie czy Zielonej Górze, gdzie z nie słabnącą energią będzie organizował, organizował... Taki to już jest ten rzutki brodac z dwu paszaj — pisarza i działacza.

Te sylwetki dwu białostockich działaczy i organizatorów są, być może, nieco stereotypowe. Być może, a nawet na pewno takich ludzi ożywionych szlachetną pasją, ma każdy ośrodek i każdy region. Ale łatwo sobie wyobrazić w jak trudnej sytuacji znaleźli się ci przybysze z tzw. „centra”, jak trudno przychodziło im asymilowanie się w środowisku absolutnie odrębnym, swoistym, gdzie cała masa problemów, zjawisk, przerażała swą niezrozumiałością, anachronizmem, a w najlepszym wypadku śmieszyła. Tym łatwiej zrozumieć jak dużo w ciągu stosunkowo krótkiego czasu dokonali ci dwaj ludzie, którzy jeśli już dziś uważają Białystok za swoje miasto, to także dlatego, że w tym co zmieniło się tu na lepsze jest bardzo wiele ich pracy.

A pracy tu trzeba dużo, jak wszędzie tam, gdzie natura nie jest zbyt łaskawa. W pewnej opasłej książce napisano: „Białostockie jest najzimniejszym obszarem w Polsce, najkrótszy okres wegetacyjny, głębi mało urodzajne — biele i piaski, niski stopień urbanizacji, duże zafaczenie techniczne rolnictwa, drogi słabo zainwestowane... surowce: rudy darniowe, torfy, ropy, żwiru, piaski”. Pewno, jeśli już do surowców zalicza się ropy, żwiru i piaski znak widomy, że województwo nie jest bogate. A tu na karku Rok Ziemi Białostockiej — impreza tajemnicza, o której zbyt dokładnie nawet w Białymstoku nie wiedzą. Kursuje tylko po mieście powiedzenie Sokola, że „Rok najbardziej szalonego województwa przypała na najbardziej rok w kraju”.

Oczywiście, że żywiołowe nieszczęścia, jakie dotknęły nas u progu 1963 roku w którym nie zagroziły na przykład kombinatów w Fastach, który w niedługim czasie rozbuduje się dochodząc do siedmiu tysięcy zatrudnionych. Fasty nie są zresztą w Białostockiem przypadkiem. — Tradycje włókiennicze są tu dość stare. Sto lat temu Białystok miał 230 fabryk zatrudniających kilka tysięcy ludzi, a w promieniu paru kilometrów mieściło się dalszych 80 fabryczek... „Sukno białostoc-



kie opanowuje wiele rynków (nawet częściowo łódzki). Odbiorcami są Rosja, Niemcy, Francja, Ameryka” — pisał wówczas historyk.

Białystok stanowiłoby zbyt długo był wsią. — Prawa miejskie otrzymał dopiero w połowie XVIII wieku, a przedtem poczynano sobie z nim całkiem beceremonialnie. Kiedy hetman Braniecki zenił się z córką Stefana Czarnieckiego, ten ostatni dał mu miasto w posagu. W końcu jednak wszystko się dobrze skończyło, bo Braniecki zbudował (notabene dla dwu tylko osób) piękny barokowy pałac, w którym już trzynasty rok egzystuje z powodzeniem i podobno bez trudności lokalowych cała białostocka Akademia Medyczna.

W pałacu Branieckich przebywają zatem całe zastępy pięknych medyków, wśród których oczywiście prym wiodą najbardziej wygadane, co w Białymstoku znaczy — łodziński. No cóż, Białostockie zawsze skazane było na najazdy najprzeróżniejszych przybyszów.

„Czysta narodowościowość” — to określenie chyba pasuje do Białostocczan. Są tu wice Polacy, Białorusini, Tatarzy, Żydzi, Litwini, — grupy stosunkowo najliczniejsze. Wszystko to zostało, rzecz prosta, idealnie przemieszane.

Kilkadziesiąt kilometrów od stolicy województwa znajdują się nawet całe wsie mułmańskie — Bohoniki, Krużyniany, Sokółka — z własnymi meczetami, otoczonymi zresztą opieką państwa i pieczołowicie konserwowanymi. Chociaż od czasów sprowadzenia Tatarów przez Jana Sobieskiego (nadano im wówczas ziemie, aby zrekompensować zaległy żołd i usmierzyć bunt) minęło lat kilkanaście — jeszcze można w Białostockiem znaleźć cenne zabytki mułmańskie. Reaktor Konopacki, który dla

Zakładu Orientalistyki Polskiej Akademii Nauk prowadził katalogowanie i opis zabytków rękopiśmiennictwa mułmańskiego — odnalazł w Suchowoli unikalny rękopis z 1631 roku będący najstarszym zbiorem mułmańskich legend i opowieści.

Trudno zresztą mówiąc o białostockich Tatarach podkreślać jakąś ich szczególną odrębność. Większość z nich nie zna języka przodków, a z Polską związani czuli się zawsze. Jeszcze w okresie napoleońskim Tatarzy Azulewicz i Achmatowicz sprzedali swe majątki, aby móc wyposażyć tatarskie szwadrony stworzone w napoleońskiej armii i walczące o wolność swej nowej ojczyzny.

Zdziwił się zapewne czytelnik, ale słynna Maryla Wereszcakówna, w której tak nieszczęśliwie kochał się wieszcz Adam, była w pierwszej linii potomkiem osiedlonych na tych ziemiach Tatarów. Potomkiem ich, choć dość dalekim, był także Henryk Sienkiewicz, nie mówiąc już o wybitnym chemiku, byłym rektorze Politechniki Łódzkiej prof. Osmanie Achmatowiczu.

Przed moją białostocką przygodą wierzyłem, że i awans kulturalny tego miasta, i specyfika rozwoju i oddziaływanie Warszawy i spora grupa łódzian białostockich — pozwoli na jakieś uogólniające analogie. Niestety, jest to miasto o tak całkowicie odmiennej specyfice, stanowiące tak fantastyczny konglomerat egzotycznych problemów, że reporterowi szukającemu analogii opadały ręce. Kiedy w końcu zobaczyłem, że w białostockich knajpach nie pije się wódki pod pivo jak na Śląsku czy pod oranżadę jak w Łodzi ale pod... kefir — zrezygnowałem z szukania podobieństw pokonany przez zsiadłe mleko.

informacje **zaczepki**

Interesujące dane dotyczące klasy robotniczej po dał w 1-majowym numerze „Dziennik Światła” Zygmunt Szeliga. Zainteresują one z pewnością i naszych czytelników. Otóż najliczniejszą grupę robotników stanowią metalowcy (650 tysięcy). Włóknarze znajdują się na drugim miejscu i liczą 350 tysięcy. Pod względem układu terytorialnego Łódź i województwo znajdują się także na drugim miejscu — mieszka bowiem w Łodzi i na Ziemi Łódzkiej 300 tysięcy robotników. Trzeci w tym wypadku dzierży oczywiście Śląsk (630 tysięcy), a Warszawa wraz z województwem znajduje się na czwartym miejscu. Ostatnie jest woj. olsztyńskie z liczbą zaledwie 30 tysięcy robotników.



W księgarniach ukazała się już nowa powieść Zbigniewa Nienackiego pt. „Podniesienie”. Książkę wydał „Czytelnik”, kosztuje 10 zł. „Powieści tej — czytamy w „Polityce” — odtwarza: Jacek dramatyczne procesy owego okresu (reformy rolne, walka z reakcyjnym podziemiem) autor „Laseczki i tajemnicy” potrafił nadać walory dobrej literatury sensacyjnej. Czyta się jednym tchem”. Potwierdzamy.



Łódzkie Zakłady Spożywcze produkują od jakiegoś czasu napój orzeźwiający (nawiasem mówiąc bardzo niesmaczny) o zaskakującej nazwie „Pomarańczka”. Nie mamy właściwie pretensji, że napój ów z pomarańczami ma naprawdę niewiele wspólnego. Nie możemy się natomiast oprzeć wrażeniu, że nazwę dla pynu wymyślił jakiś wybitny „językowiec”.

Po raz bodaj że szósty nasze województwo zdobyło pierwsze miejsce w krajowym współzawodnictwie — zbiórce na Siołeczny Fundusz Odbudowy Stolicy. Nasz region zresztą w zbiorce na SPDS, jeśli nie zajął kiedy pierwszego, to z reguły nie spadał niżej niż na drugie miejsce.

Jeszcze dwa lata temu przyrost naturalny w naszym mieście wynosił 6.1 na tysiąc mieszkańców. Opaniatał się jednak i już w 1962 r. przyrost naturalny wynosił prawie o połowę mniej. Na marginesie — obecnie Łódź liczy równo 727 tysięcy mieszkańców.

J. W.



TADEUSZ PAPIERZ

Legenda

o ROKU 45

ZBIGNIEW NIENACKI

debiutował w 1957 r. powieścią „Uroczysko”. Następnie opublikował powieści: „Pozwolenie na przywóz łwa”, „Skarb Atanaryka”, „Worek judaszów”, „Laseczka i tajemnica”, „Podniesienie”. Jest autorem sztuk dramatycznych: „Termitera”, „Styls”, „Myszy”, „Golem”.

„Podniesienie” Nienackiego należy do powieści, które prowokują do polemiki; ale ta „polemiczność” na pewno nie jest zasadniczą i uderzającą cechą książki. Na pierwszy plan wysuwa się w niej narracja. Nienacki objawił w „Podniesieniu” duży talent narracyjny. Jednakże podkreślam na wstępie elementy polemiczne tej powieści. Chociażby dlatego, że dostarczyć one mogą odpowiedzi na szereg innych pytań.

Akcję powieści umieścił Nienacki w jednej z zapadłych wsi województwa łódzkiego. Czas jej trwania: trzy dni w pamiętnym 1945 roku. Jest to więc powieść o tematyce wiejskiej; i trzeba dodać, że dziś już historycznej. Ale określenie „Podniesienia” mianem powieści „wiejskiej” nie wydaje się zbyt precyzyjne. Zubaża, a w każdym razie zawęża jej tematykę. Są zagadnienia, które wyrastają poza opłotki akcji i które nie wyczerpują się na przedstawionych realiach. Akcja „Podniesienia” nie można chyba ograniczać wyłącznie do „trzech dni”; ani do anegdotycznego przedstawienia wyprawy Bielinka i Pawła na wieś, aby pomóc chłopom w parcelacji dworskiej ziemi, ani nawet do przedstawienia wyznika życia wsi w określonym historycznym czasie. Znaczenie tej wyprawy

dwóch aktywistów na wieś jest daleko szersze, pozwala autorowi odsonić bogatych kompleks zagadnień społecznych i politycznych.

Nienacki nawiązuje do historii — chociaż zamkniętej — przecież nie bardzo jeszcze odległej. Mamy wciąż w pamięci ten rok wyzwolenia, rok spełnionej nadziei i rodzących się nowych marzeń, trudnych początków, a także gorzkich rozczarowań, tragedii i niepewności. Czytelnik zostaje przeniesiony w niesłychanie napiętą i niespokojną atmosferę tamtych dni i nocy, które otwierały nowe życie. Nienacki oddaje wierne w „Podniesieniu” ten czas. Wydobywa z niego to, co było w nim najbardziej dramatyczne: atmosferę towarzyszącą wielkiej przemianie. Scena śmierci Bielinka jest w powieści najbardziej wymownym akcentem. Świat zaczyna nabierać innych barw, życie pulsuje nowymi treściami. Nienacki dostrzega i rejestruje te procesy, które zapowiadają nowe. Narodziny tego nadchodzącego czasu ukazuje w sposób frapujący, ale i nie podlegający dyskusji. W ten sposób „Podniesienie” objawia się jako powieść mówiąca prawdę nie tylko o wsi. Symboliczne znaczenie książki jest szersze. Nienacki mówi prawdę o roku czterdziestym piątym, o narodzinach nowego życia — nie tylko na wsi.

Zwraca się uwagę na „doskonałe psychologicznie nakreślone sylwetki bohaterów”, podkreśla się ich reakcje na dokonujące się przemiany i na tok akcji „prawie sensacyjny”. Istotnie, autor „Podniesienia” umie ostro rysować ludzi i sytuacje. I — trzeba dodać — jego sposób patrzenia odbiega od przyjętej konwencji. Nienacki nie mitologizuje swoich bohaterów. Nie każe im mówić — w chwilach dla nich podniosłych — srebrnymi literami. Nie kreuje ich na bohaterów „na miarę czasu”. Przeciwnie, przedstawia ich w najbardziej ostrym i krytycznym świetle. Można mówić o skłonności autora do przejawiania rysunku postaci i sytuacji; a nawet do epatowania brutalnością (choć podejrzewam autora: o celowe złośliwości, tam zwłaszcza, gdzie mowa o drapieżnych uczuciach, zmysłach itp.). Przejawianie to widać chociażby w przedstawianiu codziennego życia mieszkańców wsi. „Poprowadziła ich do niuziutkiej chałupki na skraju wsi. Chałupa i obora mieściły się pod jednym dachem, w izbie śmierdziały kurami, a na glinianym klepsku bawilo się dwoje małych dzieci...” To jest oczywiście obrazek autentyczny. Można było w tym czasie spotkać na wsi jeszcze gorsze sytuacje, które z powodzeniem ilustrowały-

by zapisy naszych publicystów z XVIII wieku o domach „okropniejszych niż więzienie złoźni”, o izbach, w których obok ludzi „gromadzą się kury, gęsi, świni...” Oczywiście, były takie domy — ilustracje przeszłości, ale można przecież zadać pytanie, czy jest to obraz zobiektywizowany, czy tak wyglądała przeciętna wieś a.d. 1945, szczególnie tu, w okolicy Krosnowy i Lipiec? Czy w powieści nie zostały zachwiane proporcje, które mogły wpłynąć na prawdę dzieła literackiego?

Otóż mimo tych „zniesztalcen” „Podniesienie” przedstawia prawdziwe życie. Istota prawdy tej powieści leży nie w jej fotograficznym autentyzmie. „Podniesienie” jest piękną powieścią-legendą o działaczach Bielinku, o jego śmierci, i o ziemi. Konwencja legendy pozwala na pewne zniesztalcenia. W legendzie można pewnie sprawy celowo wyolbrzymić, co nie tylko nie przeszkadza, a pomaga w trafnym i celnym ukazaniu prawd o życiu w ogóle. Taką prawdę o swoim życiu odkryli chłopcy do śmierci Bielinka. Ale trzeba natychmiast dodać: prawdę niepełną. Nienacki napisał legendę o roku czterdziestym piątym, nie zamknął jej przecież akcentem fałszywym: pozostał wierny realiom życia, które przedstawił. Pozostał wierny problemowi. Nie dał się ponieść swojej pasji narratora — pozostał nadal trzeźwy i surowy dla swoich bohaterów; surowy, ale nie pozbawiony dobrodusznej ironii. Ta opowieść o dziele dworskiej ziemi nie mogła się inaczej zakończyć, jak zakończyła: „W dwa dni później przyjechała do Brzostówki grupa ludzi z geometrą i rozdzielili ziemie dziedziczne. Każdy dostał działkę, gdzie sobie żyć, i taką, jaką mu się należała, zgodnie z prawem. A przecież jeszcze do dziś powiadają na Brzostówkach, że gdyby Bielinek żył, każdy dostałby ziemi więcej i w lepszym miejscu”.

Zbigniew Nienacki, „Podniesienie”, „Czytelnik”, Warszawa 1963. Cena zł 10, Nakł. 10.250 egz.

JANUSZ KRÓLIKOWSKI

KARPATY

widzę jak dno pęknięte suszą
wstramina morze

a góry stygnąc uroczyscie
kłada pod stopy strone zbocza

ilu odeszło stąd do nikąd
po czubek głodu tkwiąc w nadziei

wieczność tu taka drży ogromna
że ludzkie ciało się nie mieści



ECHO

samotny jestem pod drzewem
na którym powiesił się człowiek

las jest
ostudzoną pożarem słońca

w drewnianych ścianach
mieszka echo

Kto zgadnie jakie słowa
ukrywa szum

dokąd ścieżka prowadzi
kroki puste

pogoda zwisa z galezi
jak rozplątany sznur



WIESŁAW JAŻDZYŃSKI

NIE MA POWROTU

STRESZCZENIE

Jest okupacja, rok 1943. Dwaj przyjaciele uciekali z rodzinnego miasta. Grozi im bowiem aresztowanie, jak zresztą wszystkim uczestnikom polskiego ruchu oporu przeciwko fałszywemu. Jednego z bohaterów, Justyna, czytelnicy znają już. Wiadomo, że mieszka w głębi lasów, w opustoszałym dworze. Uczy tam „potomków starego rodu”, romanse, zaczyna bywać w okolicznych dworach, zdobywa broń i aparat radiowy, zyskuje nowych przyjaciół, aż wreszcie... jednak nie uprzedzajmy wypadków. Cierpliwie czytelnik pozna niebawem perypetie Justyna i — być może — da się przekonać, że nie należy życia brać tak jak ono leci, trzeba wybierać, nieustannie wartościować, trzeba samemu tworzyć własne życie. Czy Justyn słusznie wybiera, czy nie pobił? Czy uda mu się rozwiązać konflikty, które sam spowodował?

— Zebrał już ostatnich. Tam musiał być Goldblum — zegarmistrz, dwaj Dancygierowie — rzeźnicy, Warszawski — krawiec, robił mi te spodnie, chyba jeszcze Żmigroder, skupował od

chłopów zboże i świnię, no i Abram.

Dąb dodał.

— Zapomniałeś o mecenasie Potockim, wczoraj, jak robiliśmy wywiad, jeszcze żył, Kukulka go widział. Proponuję zatrzymać u nas Abrahama, to dobry felczer, zielarz, nie mamy w grupie nikogo do leczenia. Kto mógł, cholera jasna, przewidzieć, że oni zaczną wczesniej!

Kulawy czyścił spokojnie pistolet.

— Nie masz się czego martwić, wywiad był dobry. Uratowaliśmy człowieka, więcej nie mogliśmy, taka była realna sytuacja, faszyści stracili, zdaje mi się, pięciu ludzi, po całej okolicy rozejdzie się, że nie pozwala mi bezkarnie mordować, zdobyliśmy kilka automatów, amunicję, to też się liczy.

Dąb podszedł do wozu. Na skrzynkach amunicji leżał Abram przykryty kocem, patrzył w niebo i powtarzał bez przerwy:

— Dancygier, ja tobie mówię, ty sze nie masz czego bać! Dancygier ja tobie mówię, ty sze nie masz czego bać.

Wolga nie mógł znaleźć sobie miejsca. Siedział przy stole, podkręcał nerwowo lampkę naftową, podnosił wzrok na Dęba, potem krył nagle twarz w dłoniach, odychał ciężko, to zapalał pa pierosa, ciskał go jednak ze złością na podłogę i znowu brał się do lampki.

— Gryzie cię co?

— Każdy ma swojego robaka.

Kulawy pochylał się nad mapą.

— Ja stosuję w takich wypadkach logikę, robię analizę, rozkładam sytuację na konkretne elementy, ustalam najważniejsze i uogólniam. Jak człowiek wie, o co chodzi, robaki znikają od razu.

— No to rozkładaj sytuację — westchnął Wolga.

Palec Kulawego zatrzymał się przy małym, jakby od niechcenia zaznaczonym punkcikiem na mapie.

— Odpusty, tu teraz jesteśmy, towarzysze, punkt centralny naszej siatki. A dlaczego centralny?

— Znowu zaczynasz pieprzyć — zniecierpliwiał się Dąb — wiadomo, mamy tu technikę, broszury przyszły wczoraj, jutro muszą pójść

w teren. Szkolimy w Odpustach aktyw, towarzyszu polityczny, nie rozumiesz, dla czego ty wszystko powtarzasz od początku i stale nas nauczasz Jezusie Chrystusie z legitymacją partyjną. Mów po ludzku, a nie deklamuj.

Kulawy nie dał się zbić z tropu.

— Jestem tu do spraw politycznych, więc muszę. Chcę powiedzieć, że trzeba Odpusty oszczędzać. To musi być bardzo cicha wieś. Żadnego wojska, żadnych zjazdów, ruchu, tylko dobra obstawa. Wyobrażacie sobie, co by było, gdyby nas tu najechał i esesmani, albo nawet Żbik Wielki? Wszystko tracimy, jeśli chodzi o aktywność polityczną i skład broni.

Dąb tarł czoło.

— Nie mogę dobrać się do Żbika Wielkiego. Wiem tylko że stoi pomiędzy Olszyną i Zalesiem. Pewnie za tymi bagnami, dobre miejsce, jest pawilon myśliwski, dość duża buda, byłem tam niejednokrotnie. Ale czy się rusza — nie wiem. Mamy też wiadomości, że nie dagał się z Ryżym Julkiem. Kukulka zebrał trochę informacji, rozmawiał bezpośrednio, podobno w budynku

oficjalistów u grubego Wilczka.

— A co oni o nas wiedzą?

— Ty jesteś dzisiaj wyjątkowo dobry, Kulawy, głównie wiem, co oni mogą wiedzieć. Nie mam tam ani jednego człowieka, są takie zasrane tereny, człowiek chodzi, maca, węszy, próbuje się zaczepić i nie może. Musisz to zrozumieć.

— Nie rozumiem, co znaczy — nie może. Jednego razu dywizja Woroszyłowa miała przeprawić się przez most...

Wolga przerwał Kulawemu.

— Opowiadałeś nam już. Jak się deski dowiedziały, że będą komunistów nosić, postanowiły nie pękać. Słuchaj, Kulawy, ty jesteś mądry, masz duże wykształcenie. Przez ten rok, jak cię do nas przysłał, dużo nas nauczyłeś, w życiu nie przeżyłem tyle, co tego roku, Dąb chyba też. Ale ty nie znasz dokładnie naszego terenu. Żbik Wielki siedzi na szlaku pielgrzymek do Czechochowy, to ma znaczenie. Wiedział, gdzie się zamelić. Tam ludzie widzieli tylko kosięża, wikarego i Wilczków.

— Nie ma co gadać o

świadomości — podjął z kolei Dąb — oni tylko jeden jedyny raz coś zrobili, słyszałeś pewnie, rąbnął właściciela Zalesia z dubeltówką, ale to była rozpacz, a nie walka polityczna, rozumiesz? Żbik Wielki założył kaplicę w lesie, nie, nie w obozie, taki głupi to on nie jest, ludziom msze odprawia, przysyła podchorążych, eleganckie chłopaki ze szka pierzami, na piersiach, ksiądz go nazywa zbawcą narodu i każe milczeć, dlatego ma my duże trudności z rozpoznaniem.

Kulawy utykał po izbie.

— Jeżeli tak źle wygląda sytuacja, to może zmienimy rejon operacyjny? Niektóre nasze oddziały idą na Lubelszczyznę, za Wisłę, do Wojska Polskiego. To się da szybko załatwić.

Wolga uderzył pięścią w stół.

— My jesteśmy z tych stron, dobrze nam tu. Dąb trochę za czarno ocenia sytuację. W rejonie Olszyny i Zalesia działa siatka akowska, majora Skrzetuskiego, przeważnie restauratorzy, właściciele sklepików, urzędnicy dworcy, gajowi, jest, zdaje się, trochę chłopów. Nastawienie w aka nie jest dobre dla Żbika. Kukulka już nawiązał kontakt z jednym gajowym, powoli nadziedziemy więcej ludzi wśród Wilczków.

Dalszy ciąg
na str. 10

odpusty

9

W tych dniach ukazał się almanach, czy też noworocznik literacki „Osmowa”, wydany z funduszu naszej Rady Narodowej, a firmowany przez łódzki oddział ZLP. Każdą łódzką publikację wypada witać z czynną przychylnością. Nie oznacza to jednak, iż należy stronić od krytycznych ocen, życzylibyśmy bowiem bez krytyki jest życzliwość fałszywa.

Noworocznik otwiera szkice prof. Szczepańskiego „O środowiskach twórczych Łodzi” — przy czym określenie to obejmuje „szereg jednostek, kręgów i grup zajmujących się twórczością w zakresie nauki, sztuki (literatura, plastyka, muzyka, teatr, taniec) i publicystyki, powiązanych wzajemnymi oddziaływaniami podnoszącymi intensywność i poziom ich twórczości...”.

Chciałoby się, aby rozważania znanego socjologa były przez niego kontynuowane, a jednocześnie przejęte przez reprezentantów poszczególnych środowisk. Sprawa ma istotne znaczenie, nasuwa mnóstwo problemów. Podkreśla prof. Szczepański korzystny i stały rozwój zaplecza instytucjonalnego w mieście. Dobrze więc byłoby przywrócić się poszczególnym instytucjom i warsztatom tego zaplecza pod kątem, jakiego rodzaju autorytety — twórcze czy wyładowane, rzeczywiste, czy niejako administracyjne — determinują konkretne sytuacje, jakie konwencje obowiązują. Nie tylko od indywidualnych talentów i ambicji, nie tylko od technicznej jakości zaplecza instytucjonalnego zależy stopień realizacji wielu twórczych wysiłków, w każdej zapewne dziedzinie.

Z rzeczy łódzkich wymienimy jeszcze Jana Augustyniaka poważny przyczynek do historii kultury w naszym mieście: „Dziejów biblioteki

woroczniku) nie znajdujemy, o dziwo, ani jednego raportu. To bardzo źle. Właśnie raport jest sposobem przekazywania i porządkowania rzeczywistości, który najłatwiej trafić do czytelnika. Złazczyła, w naszym mieście warto o tym pamiętać. A jest przecież o czym pisać! Choćby o autentycznych sukcesach niektórych pracowników naukowych i laboratoryjnych.

w jednym numerze omówić wszystkich nowości książkowych łódzian, ale — gdyby dbać o rzetelność informacji — należałoby przynajmniej albo sporządzić bibliografię ostatnich paru lat (co robiła w innym wymiarze „Rzecz poetycka”) albo zadbać o artykuł zbiorczy-informacyjny. (Jeden tylko przykład: jednocześnie z omawianymi tomkami Kosińskiego i Waleńczyka, w

wierszach z recenzowanego tomiku Zb. Kosińskiego wystarczyłoby powiedzieć, że są po prostu poetyckimi żarcikami...

W kilku wypadkach nie zadano o surowszą selekcję tekstów. Wiersze w rodzaju:

„Łato przegłada w lustrze wiedzając swą urodę: odejść jutro, pojutrze, stłucz lustro, rzuci kamień w wodę”

i fraszki w rodzaju:

„Gdy pierś twą śnieżną luskam z białej bluzki, Hold ci odda szerszy niż Hold Pruski”

bez szkody dla kogokolwiek powinny mieć miejsce jedynie w prywatnych sztabkach.

Należy także żałować, iż ograniczono się do paru zaledwie notek, penetrujących życie kulturalne miasta. A przecież jest wiele faktów i sytuacji, zasługujących na syndercy lub polemiczny komentarz! Takie notki i wy-bady zawsze ożywiają wszelkie jednolitości i im podobne manifestacje.

Jak więc wypada ogólna ocena? Prezentacja? Nie! Jakaś inna wyraźna koncepcja lub myśl redakcyjna? Także nie. A więc otrzymaliśmy książkę, zawierającą nieco publicystyki, recenzji, ciekawej prozy (opowiadanie Karłowicz, romansowiczowska groteska, ale o mniejszym wadliwym. J. M. Rymkiewicz), dobrych lub miernych wierszy. Całość tedy w zdecydowanie fałszywym świetle ukazuje możliwość pisać i umieć pisać koncepcyjno-edytorskie łódzkiego środowiska literackiego.

Wolno żywić przekonanie, iż w przyszłości — mimo wszystko, warto bowiem zabiegać o dalsze realizacje almanachowych manifestacji — uniknie się niektórych w wymienionych błędów. Temu magną służyć powyższe uwagi.

P.S. Wciąż w krajowej praktyce wydawniczej zdarzają się nieczytelne lub mało czytelne tytuły na okładkach. Nikt nie ma zamiaru ingerować w inwencje grafików, ale — na miłość boską — jeden warunek w takich okolicznościach obowiązujący: cokolwiek zrobi się z okładką, tytuł musi być łatwo czytelny! Tak jak kręśla czy łózka powinny przede wszystkim spełniać swoją podstawową funkcję. Jakże trudno o przekonanie do oczywistych zasad!

JAN HUSZCZA prezentacja?

część nieco starsza”...

Po dłuższym okresie milczenia, St. Bruczek wystąpił ze wspomnieniem o Brunonie Jasieńskim, pracującym w Peryżu nad poematem „Słowo o Jakubie Szeli”. Dodałmy, iż właśnie w Łodzi postanowiono wydać w 1946 roku poemat tego poety.

W almanachu (czy też no-

Do rzeczy zabawnych da się zaliczyć groteska Z. Fijaśa, wyszydzącego pseudonowatorstwo, ciagoty do absurdalizacji twórczości dramatycznej.

„Osmowa” zawiera aż kilka fragmentów powieści. Jeden z nich należy w dodatku do całości, która ukazała się w wydaniu książkowym. Świadczy to o wyjątkowej rozrzuconości w gospodarowaniu stronicami wydawnictwa. Tego typu publikacja nie może sobie pozwolić na drukowanie rzeczy niedookreślonych, fragmentów powieściowych. I w tym miejscu dochodzimy do sprawy wcale poważnej. W przedmowie znajdujemy zdanie — oświadczenie: „Tom ten stanowi niejako prezentację łódzkiego środowiska twórczego”. (Nb. należało dodać: literackiego). Niestety, to zdanie, skonfrontowane z zawartością almanachu, stanowi przykrą próbę wprowadzenia w błąd. Wyrzadzono krzywdę zarówno almanachowi, jak i jego ewentualnym czytelnikom, pominięto bowiem wielu prozaików i poetów starszego, średniego i najmłodszego pokolenia. Nawet nie przytaczam nazwisk, gdyż pominiętych jest bez porównania więcej, niż reprezentowanych. Zresztą, taka prezentacja wszystkich w jednym numerze technicznie nie byłaby łatwa. Tym bardziej więc po co to kłamstwo zamieścić jakieś rozsądnej koncepcji redakcyjnej?

Rozumiemy, iż nie da się



Dalszy ciąg ze str. 9

— No to nalej po szklanceczce, utopimy twojego robaka.

Wolga wyciągnął fiaskę spod stołu.

— Ja się nie martwię o sytuację, już my sobie damy radę, jak będzie trzeba to i Zbik Wielki może dostać po dupie, mnie gryzie co innego, co co jest w nas samych.

Wolga mówił długo. Czy obserwowaliście Wilka podczas akcji? Nie? Wolga obserwował go uważnie. Wilk strzela celnie, sam rąbnął chyba czterech żandarmów, Kukulka jednego, a resztę nikogo. Co w tym nadzwyczajnego? Może nie, a może jednak. Wilk strzela z radością, lubi to. Jeden lubi łowić ryby, drugi ma skrzypce, a on lubi, bardzo lubi strzelać. Uśmiecha się, jak ciągnie za język spustowy. Jego interesuje śmierć człowieka, zawsze mówi o czymś, czego nie ma, o tej chwili kiedy dusza opuszcza ciało. Duszy nie ma, duszę wymyślił księża, ale nie o to chodzi. Wilk strzelał do żandarma, który leżał pod wodą i wcale nie żył. Strzelał też do mogiły. Mówił, że tam był żandarm. Nie mogło być żandarma, Wolga widział wszystkich dokładnie. W grobie przycałował się Ryży Julek, ale uciekł spokojnie zaraz na początku akcji, bo nikt nie strzelał w stronę mogiły, chodziło o Abrahama.

Jakby tam kto był, to by też uciekł. Wilk mówi, że tam był żandarm i on go kropnął. Dlaczego w takim razie nie zabrał mu karabinu, czy automatu? Jeżeli mógł sięgać pod wodę, żeby wyciągnąć zwykły pistolet, dlaczego tu nie ruszył ręką? Dlatego, że żandarm nie było, Wilk lubi strzelać, więc strzelał do rozstrze lanych. Może to była litość, a może okrucieństwo? A jak on już nie odróżnia litości od okrucieństwa? Po akcji powiedział do Kukulki, że nie warto było ruszać ludzi z powodu jednego Żyda, do brze chociaż, że załapał się kilka automatów. Tak mówił.

— A może my tu, do kurwy nędzy, dziejemy, po mału w tych lasach. To się tak mówi — za wolność, za lud, za to słoneczko, a czoło wiek zabija człowieka, czai się, nastuchuje, chodzi tropem, jak pies za zającem, śledzi, podłuchuje i trzyma, bez przerwy trzyma palec na cynglu. A może to nam wchodzi w krew, te rajdy nocne, te podchody i w końcu jak przyjdzie pokazać co to jest ta Polska, nikt z nas nie uwierzy, że można mieć jedno własne łóżko, sadzić kwiaty w ogródku i słuchać ciszy. Może my nie zniesiemy ciszy?

Wolga umilkł. Kulawy wy dawał się być zupełnie spokojny. Dąb napelniał znowu szklanki, ręce mu przy tym drżały. Wolga wyrwał mu słowa z ust. Kulawy patrzył na mętny płyn.

— Masz dużo racji. To jest sprawa ogólna, znana w partii nie od dziś, sprawa metod i zarazem jest to sprawa szczegółowa. Pierwszej nie zatwierdzamy tak przedko, co do drugiej proponuję, żeby przerzucić Wilka do dyspozycji okręgu.

Na krawędzi lasu gawędzili żołnierze. Niemcy wciąż nie nadjeżdżali. Co jakiś czas meldowały patrole, że nikogo nie widać. Taką ci-szę, las i słońce mógłby błogosiławić zmęczony człowiek, tutaj jednak oznaczała ona wypadki, których przewidywać niepodobna.

— Coś nie gra — Wolga spojrział na zegarek — dawno powinni nadjechać.

Niechętnie zarządził od-marsz. Wlekił się przez las na południe powiatu. Kulawy milczał, chociaż teraz, kiedy los Dęba został już przesądzony, miał wszelkie powody powrócić do swoich zastrzeżeń.

— Domyślił się, że Dąb może być w Olszynie, co? — westchnął Wolga.

— Nie wiem.

— Pewnie go już dopadli, jak myślisz?

— Kiedy nie wiem, czy go dopadli, poczekajmy do wieczora.

— Technika zgubiła Dęba, ja ci to mówię, jakby nie mieli samochodów, nigdy by go nie złapali.

— Nie kop mu grobu przed czasem, zdążył jeszcze.

Do końca dnia Wolga nie wziął do ust, całą noc czekał na powrót Dęba, ale Dąb nie wrócił.

Dąb siedział na północ ostrożnie, przystawał w gęstych zagajnikach i słuchał patrole na wszystkie strony. Do dworu w Olszynie wpadł jak burza, chciał popatrzyć w twarz swojego dawnego chle-bodawcy. Zebrał wszystkich domowników w salonie i przystąpił od razu do rzeczy.

— Wiadomo jest nam, że dwór przerzuca ciężar od-

dawania przymusowych kontyngentów na wieś, a sam da-ty Niemcom tylko łapówki. Kontyngenty trzeba sabotować, a jeśli się nie da ma-cie wy oddać, obywatelu Wil-czek, inaczej dostaniecie w dupe, publicznie, na środku wsi. To wam tu grzecznie przy wszystkich oświadczam — dostaniecie w dupę, nie po-może ani Zbik Wielki, ani żandarmia z Ostachowa, zdaje się, że innych przyja-ciół nie macie, a teraz po-

proszę o wszystkie rowery, jakie są we dworze. Czekam dziesięć minut.

Wyszedł na plac przed re-stauracją. Plutonowy Kukulka zameldował, że bimbrow-nia pana Muchy została już zniszczona, a cały zapas al-koholu wylany do gnojowni-ka. Zarekwirowano u restau-ratora trzy rowery.

— Gdzie jest leśniczy, sprawdził?

— Tak jest, towarzyszu poruczniku, siedzi w knaj-

pie, nie zabieraliśmy mu wódki.

— Gromadź rowery, musi my mieć osiemnaście, księ-żom nie odbieraj, to zrobi złą krew, ale organizację możesz. Pogadam z leśniczym.

Pobiegł na podwórze, sko-czył do chlewika, w chwilę później leśniczy przecierał oczy ze zdumienia.

— Kogo ja widzę! Wacho-wiak? W wojsko się bawisz? Dobrze ci w tym mundurku.

— Ignac, ja nie mam te-raz czasu. Znasz drogę na Brzózki?

— Leśniczy spoważniał.

— Na Brzózki? A czego ty tam szukasz?

— Nie twój interes. Znasz, czy nie znasz?

— Znam, dojedziesz do krzyża powstańczego, drogą w stronę Zalesia...

— Tę drogę, to i ja znam, Chodzi mi o inną, rozu-miesz? Chcę tam być, ale z innej strony. No?

— Znam, jest trochę wo-dy, ale teraz będzie najwy-żej trochę błota, dawno nie padało. Tylko, ja ci nie nie powiem więcej, jeszcze mi życie miłe, niech ci to po-wie kto inny.

— Ostrzegłeś nas przed Zbikiem Wielkim, pomożesz i teraz. Ja tam muszę zaraz być, choćbym cię miał pod muszką prowadzić.

Leśniczy nalał dwa kie-liszki wódki. Stuknęli się i wypili.

— Pójdiesz ścieżką wzdłuż Czarnej, aż do dawnej gajówki. Czekaj tam na mnie, będę za pół godziny.

— Zaraz będziesz, my też mamy rowery.



DO

Ob. Redaktora tygodnika

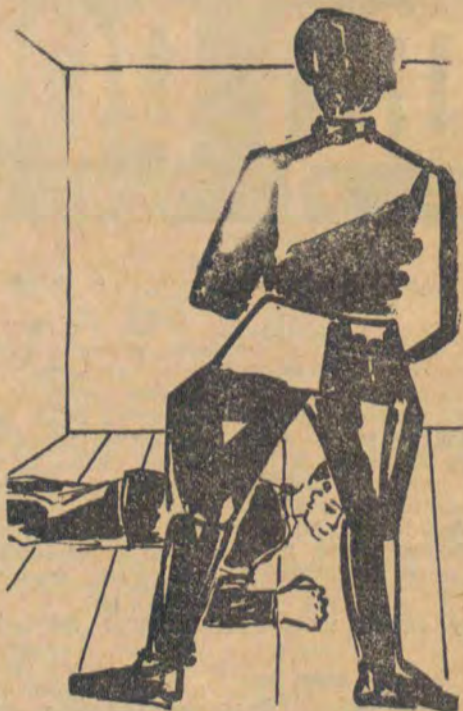
„ODGŁOSY”

W MIEJSCU

W związku z treścią artyku-lu umieszczonego w Nr 17 (569) z dn. 28 kwietnia 1953 r. ty-godnika „Odgłosy” p. „Ślusarz zawinił” — Dyrekcja Państwo-wego Szpitala dla Nerwowo i Psychicznie Chorych „Kocha-nówka” w Łodzi prosi o umie-szczenie następującego oświad-czenia:

W dniu 13. III. br. rozpoczął pracę w warsztatach istnieją-cych przy szpitalu w charakte-rze ślusarza ob. Lech. R. W dwa tygodnie po rozpoczęciu pracy ob. R. istotnie zwrócił się do Dyrekcji Szpitala z pro-sbą o podpisanie skierowania na studia zaoczne na Wydziale Prawa UL — Uchwała Nr 511 Prezydium Rady z dnia 2. VII. 1953 r. (Monitor Polski Nr 65, poz. 855), która reguluje sprawę doboru kandydatów na studia zaoczne i wieczorowe w szkołach wyższych podległych ministrowi szkolnictwa wyższe-go, uprawnia zakład pracy do skierowania na studia zaoczne jedynie pracowników, którzy odpowiadają wymagom w tej Uchwale przewidzianym. Jed-nym z zasadniczych warunków, jest warunek, aby pracownik ubiegający się o przyjęcie na studia zaoczne pracował za-wodowo (w danym zakładzie pracy) przez okres nie krótszy niż rok. Ponieważ ob. R. pra-cował jedynie miesiąc — Dyrek-cja Szpitala nie była upraw-niona do „podpisania” skiero-wania na studia zaoczne. Z tych też przyczyn Dyrekcja Szpitala nie mogła zgodzić i nie żądała od ob. R. o-świadczenia o zrzeczeniu się wszystkich przysługujących mu urlopów związanych z sesjami egzaminacyjnymi.

Dyrektor Szpitala
(Lek. med. Tad. Wierzbicki)



Fotel telemana:

„SPOTKAJMY SIĘ DZIŚ”

Tak nazywał się program rozrywkowy (S. V.) nadany z okazji obchodów Tygodnia Ziemi Zachodniej, który rozpoczął się od wstawki filmowej „obrazującej” nasze Ziemie Zachodnie, ta zaś została skomentowana następująco: — „Tu mieszka co czwarty obywatel Polski. Z ich młodzieżą i piosenką — spotkajmy się dziś”. Potem wystąpił Eugeniusz Kujawski z Gorzowa, który recytował jakiś wiersz (realizatorzy do końca audycji nie podali autora ani tytułu, pozostawiając to do odgadnięcia przez widzów — może nowa forma telekonkursu?), recytatorowi przerwał melodią zespół jazzowy „Piwnica Swidnicka” z Wrocławia, po czym pojawiła się Krystyna Marciszewska z piosenką o Wrocławiu, oczywiście na tle fotografii wrocławskiego ratusza, a po niej znowu: recytator. Dalej kolejno obejrzelśmy: zespół taneczny „Olsztyn” w strojach ludowych i z ludowymi holubkami, recytatora w dalszej części wiersza, Karin Stanek (jak powszechnie wiadomo: byłomianka) z rewelacyjną piosenką — „Warkocz moje w rytm tańca się gna”, zespół „Piwnicy Swidnickiej”, dokrętka filmowa (zabytki i uśmiechnięte dzieci w parku), Aleksandrowicz z Zielonej Góry w piensie o tym mieście, zespół „Olsztyn”, dokrętka filmowa (plan budowy), Karin Stanek z piosenką „Katarzyna” i nieodłącznym wierzgającym twistem. Trudno w to uwierzyć, ale cały program zmieścił się w ciągu 35 minut. Było w nim prawie wszystko co „rozrywkowe” i jazz, i piosenka, i poezja, i folklor, i film — na tym „wyczerpał się” koncept realizatorów z Warszawy. Scenariusz audycji opracowała Barbara Olszewska, a reżyserował Tadeusz Aleksandrowicz. Scenografia B. Cybulskiej dostrzeliła się idealnie do poziomu całego programu. W ten oto sposób nasza telewizja „odfajkowała” Tydzień Ziemi Zachodniej (nie licząc nadanego z Poznania „Notatnika gorzowskiego”) w przeciągu pół godziny. I to jak!

„PRZY OTWARTYCH DRZWIACH”

Był to pokazany 8 maja program publicystyczny z Katowic. Temat — popularyzacja osiągnięć w zakresie współpracy nauki z przemysłem. Autor reportażu Gwidon Gaj zapoznał nas z Wydziałem Budownictwa Przemysłowego i Ogólnego Politechniki Śląskiej. Prezentacja była wnikliwa i dokładna, ale zrealizowana w sposób arcygodny. Autor zastosował w scenariuszu najbardziej oklepny szablon audycji publicystycznych. Tak więc oglądaliśmy kolejno dokrętkę filmową, rozmowę z profesorem, dokrętkę, rozmowę z drugim profesorem, dokrętkę, rozmowę z dwoma profesorami na raz, i jeszcze jedną dokrętkę. Jak z tego widać telewizyjny szablon publicystyczny święci nadal triumfy (ciekawo jak długo?). Może za miesiąc, gdy Gwidon Gaj pokaże w tym cyklu Wydział Elektryczny, uda mu się uniknąć stymy, która doprowadzała widzów do masowego wyłączania odbiorników. I jeszcze jedna sprawa — dlaczego z jednym profesorem rozmawia się bez wstępu, a do drugiego zwraca się z uprzejmym „dobry wieczór, panie profesorze?”.

T. W.



PASJONUJĄCO I POZNAWCZO

Jedyną pozycją z codziennego programu telewizyjnego, która może wykazać się nieomal stu procentową frekwencją jest chyba dziennik telewizyjny. Jego sygnał stał się bez mała tak popularny, jak hejnał z Wieży Mariackiej, i wątpliwe, czy znajdzie się chociaż jeden taki widz, który nie lubi oglądać dziennika TV. Oglądać, a przy okazji i słuchać. W tym jednym wypadku należy przyznać całkowite zwycięstwo telewizji nad radiem. Dzienniki radiowe zostały po bite przez dziennik telewizyjny i sędziw, że w godzinach popołudniowych, a zwłaszcza wieczornych, mało kto już (oczywiście, jeżeli ma do wyboru: radio czy telewizor) — chyba że jest zażartym tradycjonalistą, przekreśla galkę radiodiodniaka, aby wysłuchać wiadomości. Bo i po co je słuchać, jeżeli można jednocześnie oglądać?

Dziennik telewizyjny przeszedł już wiele przeobrażeń. Początkowo do zbudowania przypominał dziennik radiowy, był jego wierna kopia, mało posiadał urozmaicenia, był monotonią odczytywaną wiadomości. Później do szły dokrętki filmowe, a wreszcie regularna, codzienna kronika filmowa. Po tej ewolucji dziennik telewizyjny odniósł bezapelacyjne zwycię-

stwo nad radiowym, i wiadomo, że w tej chwili stanowi poważną konkurencję dla Polskiej Kroniki Filmowej. W samej telewizji też widać, że zaznacza się hegemonia dziennika nad innymi programami. Choć pozornie wydawać by się mogło, że dziennik telewizyjny, jako zbiór aktualnych wiadomości politycznych, gospodarczych, kulturalnych — podlega jakiemś nieodmiennemu, z góry przez sam temat narzuconemu stereotypowi, to takiemu mniemaniu zaprzeczają — właśnie sam temat. Paradoks. Dobry Bode, przecież taki stereotyp audycji jest podobny do niezwykłego, dynamicznego, barwnego kalejdoskopu, który każdego dnia układa inny wzór i inny motyw. Tym bardziej, że dziennik telewizyjny zerwał już prawie całkowicie — gdyż coraz rzadziej zdarzają się w nim komentarze typowe dla dziennikarskie — z prągowym żargonem sprawozdawczym.

Dziennik telewizyjny obrósł w potęgę. Jest największym, najsilniejszym ośrodkiem propagandowym i równocześnie — najpotężniejszym biurem prasowym — informatorem aktualności. Rola dziennika posiada więc szczególną rangę, której przecież

nie ma potrzeby tu objaśniać, byłoby to truizmem. Ale i ta, najpopularniejsza audycja telewizyjna, posiada swoje usterki. Dziennik składa się z dwóch części, obrazu i komentarza. Obie części powinny być adekwatne (a nie zawsze są), natomiast komentarz powinien przekraczać ramy informacyjnego sprawozdania (a nie zawsze to czyni). Suchy i lapidarny język dziennika sprzyja na pewno pobudzeniu wyobraźni, niemniej, w cotygodniowych komentarzach Małcużyńskiego czy Jaszuńskiego, poza nawiązaniem do wydarzeń politycznych, powinno się znaleźć miejsce na silniejsze niż dotychczas zintegrowanie ich z całokształtem wydarzeń — a więc również i tych kulturalnych, społecznych, ekonomicznych. Chodzi bowiem nie tylko o samą informację, lecz i wiedzę — o poznanie.

„Najbardziej pragniemy zbliżenia z naszym światem, z tym, który jest już politycznie nasz, a jaki znamy tak niewiele w jego pasjonujących przedzie procesach ciągłych przemian. Uczyć tego świata, dawać milionom intelektualne narzędzie dalszego jego przekształcania — ulepszenia — oto wielkie zadanie dziennika i pokrewnych audycji (w pierwszym

rzędzie „Peryskopu”). To codzienna możliwość uczenia marksizmu w jak najbliższym a przy tym bliskolubnym wydaniu: marksizmu nie od święta i nie od abstrakcyjnych, odległych zastosowań, ale właśnie tego, który powinien i może nie tylko pomagać rozumieć, ale i uczyć żyć” — pisał o dzienniku telewizyjnym felietonista „Argumentów”. I dał: „Bo przecież można chyba powiedzieć, że jak zaczynamy filozofować przekraczając granicę codziennego przeżycia rzeczywistości, wyruszając w barwny świat, budując nasze zdziwienie, podziw, myśl, tak osiagamy o wiele wyższy szczebel mądrości człowieka, powracając ponownie, ale już z całym bogactwem zdobytych obrazów i pojęć do powszedniej egzystencji. Wówczas objawia się nam prawda bezcenna dla naszego psychicznego zadowolenia, może nawet niekiedy szkodliwa: że codzienność jest najbardziej barwnym ze światów, pełnym tajemnic i niespodzianek zarówno złych, nawet tragicznych, jak i najlepszych, pełnych niewyczerpanych możliwości”.

Taką barwną porcję przynosi nam codzienny dziennik telewizyjny, a chodzi również o to, aby nie tylko dostarczać nam możliwości dowiedzywania się, lecz przede wszystkim — aby uczył nas poznawania tego barwnego, choć pozornie powszedniego, codziennego świata.

KOWALSKI

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

NOWELE AMERYKAŃSKIE

Nakładem Państwowego Wydawnictwa „Iskry” ukazał się pękaty 577-stronicowy tom pod tytułem „26 współczesnych opowiadań amerykańskich”. Strona graficzna okładki i karty tytułowej nawiązują do identycznej pod względem rysunkowym (natomiast innej pod względem kolorystycznym) szaty zewnętrznej „18 współczesnych opowiadań amerykańskich”, które nakładem tego samego Wydawnictwa znalazły się na

półkach księgarskich w 1957 roku. Obie książki prezentują, z grubsza biorąc, dwa pokolenia pisarzy zachodniej półkuli. „18 opowiadań” to utwory autorów, z których większość zdobyła sławę światową w okresie dwudziestolecia między pierwszą a drugą wojną. Sinclair Lewis, Fitzgerald, Faulkner, Hemingway, Steinbeck, Caldwell — to nazwiska dobrze znane polskim czytelnikom. „26 opowiadań” zaś to przeważnie

utwory pisarzy, którzy debiutowali w ostatnim dwudziestolecu, po drugiej wojnie światowej. Nazwiska kilku z nich, jak J. D. Salinger, Irwin Shaw czy Powersa, którzy powieści były tłumaczone na polski, nie są obce miłośnikom literatury amerykańskiej, pozostali pisarze po raz pierwszy zwracają na siebie uwagę szerszych kół czytelniczych w Polsce.

Różnice zarówno w sztuce pisarskiej, jak i w rozległości horyzontów, ale przede wszystkim w tematyce (mam na myśli jej wagę i doniosłość społeczną) obu tomów są uderzające. W „18 opowiadań” znajdujemy utwory będące próbą ukazania skomplikowanego mechanizmu współczesnych społeczeństw lub stawiające zasadnicze dla narodów Ameryki Północnej problemy. W „26 opowiadań” natomiast tematyka obejmuje wąskie kręgi osobistych, rodzinnych lub obyczajowych konfliktów, opisywane z finezją i pomysłowością, lecz nie dorastające znaczeniem do problematyki utworów, zawartych w poprzednim tomie.

Autor słowa wstępnego stara się usprawiedliwić młodziejszych pisarzy z „26 opowiadań” tym, że konstrukcja nowelistyczna nie wytrzymuje ciężaru wielkich zagadnień, jednak przeczą temu nowele z „18 opowiadań”, w których bez uruchamiania realiów życia bieżącego stawiane są kapitalne problemy z życia ludzi współczesnych, żeby tylko wymienić „Babilon po raz wtóry” Fitzgeralda, „Śniegi Kilimandżaro” Hemingwaya lub „Popołudnie w dżungli” Malra.

Niektóre opowiadania z nowo wydawanego zbioru zaledwie tylko zarysowują pewne doniosłe problemy powstałe w czasie lub po drugiej wojnie światowej („Kłeska” Kay Boyle, „Cztery wolności” Edwarda Newhousa) lub sygnalizują poważne, nie rozwiązane dotąd zagadnienia, z którymi nie mogą się uporać narody Stanów Zjednoczonych („Długi Czwarty Lipca” Petera Taylora, „Sprawa pana M.” Louisa Auchinclossa). Są to jednak zaledwie napomknięcia i sugestie, z których mo-

żemy tylko domyślać się powagi zagadnień i trudności, nurtujących życie społeczne w Ameryce. W ten sposób zostało tylko zarysowane zagadnienie segregacji rasowej w „Sprawie pana M.” w której Auchincloss pisze: „Musimy jednak liczyć się z faktem, panie M., Knox ma głowę na karku. W dzisiejszych czasach prywatna szkoła, jeśli nie może się pochwalić przed urzędem podatkowym choćby paru Żydami i jednym czarnuchem, nie ma co liczyć na zwolnienie z podatków”.

Natomiast na temat dyskryminacji Murzynów autor opowiadania „Długi Czwarty Lipca” Peter Taylor powtarza to, co już dawno powiedział w „Intruzie” William Faulkner, który zgadzał się z tym, że Sambo musi być wolny, ale prawo całkowitego i rzeczywistego wyzwolenia czarnych zastrzegł dla mieszkańców Południa i to „nie od poniedziałku, ani w najbliższy wtorek”, lecz po bliżej nieokreślonym upływie czasu. Peter Taylor nie ma pod tym względem, jak wspominałem, nie szczególnie ważnego do powiedzenia kontentując się powtarzaniem za Faulknerem, „nie przyszło nam nigdy na myśl, że drogi przeznaczenia są dla Południa odmienne? Mamą tradycję inne niż reszta kraju, mamy własne instytucje. Chemy, by pozwolono nam rozwiązać swoje problemy bez nacisku z zewnątrz”.

Antologia zaprezentowała nam wybitne osiągnięcia w zakresie sztuki pisarskiej nowelistów, nagradzanych i wyróżnianych przez liczne komitety nagród literackich. Wydaje się jednak rzecz zastrzeżona, dlaczego nowe pokolenie pisarzy amerykańskich traktujące w sposób kameralny i aluzyjny tematy głównie z życia rodzinnego i obyczajowego nie idzie śladami swych wielkich poprzedników i unika ambitnych prób podejmowania zagadnień o szerszym znaczeniu?

ODWAŻNYCH CIĄGLE BRAK

Dalszy ciąg
ze str. 4

osiągnięciach okresu, kiedy kierownictwo artystyczne Filharmonii Łódzkiej sprawuje Stefan Marczak.

Tylko pobieżne przejście problemów wykazuje, że trzy ostatnie sezony są wcale nie mniej obfite w wielkie pozytywne repertuarowe, doskonałe wykonania i świetnych solistów. Tym bardziej trzeba to wysoki, ocenić, że w dobie oszczędności uległy znacznemu zmniejszeniu fundusze przeznaczane na honoraria dla artystów. Nie można również zapomnieć o tym, że obecnie przyleżdża do Polski znacznie mniej zagranicznych gości niż na przykład przed trzema laty, a wybitni krajowi artyści występują prawie wyłącznie za granicą. Czerny-Stefańska, Harasiewicz, Kędra, Wisłocki, Skrowaczewski.

Plótka ma jeszcze jedno źródło. Jest nim właśnie milczenie prasy. I pod tym fragmentem artykułu Makowieckiego, który mówi o krytyce i informacji muzycznej, trzeba się podzielić oboma rekoma. Informacje o koncertach są absolutnie nie wystarczające. Jest to zazwyczaj suchy komunikat o programie i wykonawcach, przy czym nazwiska wykonawców opatrzone są niekiedy zdawkowymi i nie mówiącymi epitetami. Informacje tego rodzaju na pewno nie powodują foku przy kasie Filharmonii, a przeciwnie, wprowadzają raczej w błąd opinię publiczną, sugerując szarą przeciętność koncertów. To samo dotyczy też krytyki muzycznej. Jedynym piśmem, które zamieszcza recenzje z koncertów jest „Głos Robotniczy”. Sam fakt, że recenzje te ukazują się regularnie co tydzień byłby

wystarczającym powodem do chwały, gdyby nie ich poziom. Recenzent muzyczny „Głosu” wybrał sobie bardzo wygodny szablon i nie można mu zarzucić, aby kiedyś poza ten szablon wyszedł. Bardzo obszerny wstęp recenzji to zacytowanie z programu informacja o dziele i soliste. Druga część, nieproporcjonalnie mniejsza, to ocena wykonania. Nie biorąc nawet pod uwagę tej krzywdzącej proporcji nie można się oprzeć zdziwieniu wobec dość swoistych kryteriów oceny. Kryteria te pozwalają wprowadzić recenzentowi nie zauważając półtakowej „współ” w partii graney przez znakomitego solistę, ale za to każą mu widzieć kilka taktych zamieszania w orkiestrze wywołanego przez tę właśnie „współ”. Tego rodzaju krytyka opiera się z celem: po prostu nie zachęca ludzi do słuchania muzyki. I wobec tego, fakt, że ukazują się tylko takie i tylko te recenzje jest podwójnie przygnębiające.

Sezon kończy się i sędzi, że czas już na rzeczowy artykuł omawiający tegoroczne życie muzyczne w Łodzi. Zajmie się tym, mam nadzieję, ktoś bardziej niż ja do tego powołany. Ale za parę miesięcy rozpoczniemy nowy sezon. I jakoś nie mam nadziei, aby znalazł się ktoś, kto pogodziłby znanostwo muzyczne z biegłością pióra będzie sprawiedliwie oceniał działalność Filharmonii Łódzkiej w sposób, który by spowodował wokół tej instytucji cenniejszą i pełną zainteresowania atmosferę. Obym był fałszywym prorokiem.

MAREK WAWRZKIEWICZ

odgłosy str. 11

Sensacja za 5 złotych

Jakże niesłusznie uważają poniekąd lokalni patrioci iż Łódź pomijana jest w „rozdziale” ciekawych imprez sportowych, albo ważniejszych wydarzeń kulturalnych! Jakże niesłusznie inni jeszcze odczuwają tzw. kompleks prowincjonalny! Wprawdzie (biorąc pod uwagę tylko ostatnie dni) — istotnie nie dotarli do Łodzi Teatr Panchona, wprawdzie nie w naszym mieście śpiewał Aznavour — lecz za to: UWAGA!

UWAGA!
PROSTO ZE STOLICY POMIJAJĄC (NA RAZIE) INNE MIASTA PRZYBYŁ DO ŁODZI WIELORYB

Każdy łodzianin — ba! nawet każdy mieszkaniec województwa, z jedyne pięć złotych (może sobie wejść i... obejść całego wieloryba dookoła. Jest to rozrywka intelektualna niebywalej klasy, przy tym połączona z treningiem sportowym (obchodzenie wieloryba odbywa się na piechotę). Inne miasta mają spotkania teatralne, festiwale filmowe, wystawy Van Gogha, to do nam właśnie — BEZPOŚREDNIO PO STOLICY — przywieziono wieloryba.

Dziwić się doprawdy wypada, iż Rada Narodowa nie zaoferowała się o transparent, że małe dzieci nie sypały kwiatków i że nie było przemówień! Jedyne nasza Redakcja doceniając wagę sprawy już w przededniu przybycia wieloryba wysłała do stolicy swego specjalnego wysłannika i może obecnie słyszeć garścią informacji. A więc:

Wieloryb waży 68 tys. kilogramów. Jego długość — 22 metry (z reklamą podawa no wprawdzie 30 metrów, ale widać się skurczył. Albo może ktoś ukradł kawałek. Wieloryb Goliath posiada 4 żąłki, a każdy żąłek waży 400 kg! A ogon? — ogon aż 2000 kg! Są to rzeczywiście rzeczy wstrząsające.

Goliath zaprezentowany został społeczeństwu z wykorzystaniem wszystkich możliwości technicznych XX wieku. Oświetlają go jarzeniowe światła,



światła, w ogonie zainstalowano wiatraczek (przykro nam bar dzo, lecz kochana rybka trochę się już puszcza (zawsze z głośników płyną skoczne dźwięki big-beatu. Co parę minut big-beat przerywa piewanie pan i podaje szereg istotnych informacji — na przykład: „Mimo że wieloryb jest ssakiem, ciałem ma w kształcie ryby” lub „Wieloryb roznosi żaja się w wodzie”. Za swoje dobre 5 złotych każda jedna osoba może również obejrzeć odpowiednio fotograficznie i przeczytać napisy opracowane w wyjątkowo pięknej, wy rafinowanej polszczyźnie: „Zdejmowanie skóry z wieloryba, aby otrzymać tran”.

Opuszczamy wystawę wzruszeni, pełni wiedzy o wielorybach, szczęśliwi i dumni.

Niepokoi nas tylko jedna rzecz: wiadomo, że istnieje coś takiego jak „drenaż kieszeni”. Wiadomo, że jeżeli ktoś tysięcy ludzi obejrzy (za 5 złotych) wieloryba, to automatycznie ludzie ci nie wydadzą już w tym czasie pieniędzy na zakup biletów teatralnych, albo kinowych. Ze wieloryb Goliath po prostu ogromną część pieniędzy, przeznaczonych w budżecie społeczeństwa na cele kulturalne.

Może jednak nie ma żadnego nieszczęścia? — I tak przecież nie moglibyśmy wydać tych pieniędzy na Teatr Panchona czy Aznavoura.

odgłosy TYGODNIA

PRZED FESTIWALEM PIOSENKI

Po raz trzeci spotkamy się w lipcu b. roku w Sopocie na tradycyjnym święcie piosenki. Jak wynika z komunikatów Komitetu Organizacyjnego MFP, tegoroczny Festiwal będzie najatrakcyjniejszy ze wszystkich dotychczasowych. Będzie trwał — cztery dni (poprzednie — były trzydniowe); zgromadzi nie notowaną dotąd liczbę reprezentantów 24 państw. Po raz pierwszy zaprezentują swoich piosenkarzy Kanada, Monte Carlo i Związek Radziecki. Spośród wielu dobrych nazwisk szczególne zainteresowanie budzi Jacqueline Boyer, która kontynuuje rodzinne tradycje (jest córką słynnej, znanej i lubianej w Polsce Lucien Boyer).

Występy piosenkarzy oceniać będzie międzynarodowe jury złożone z przedstawicieli 18 państw. Wśród jurorów jest wielu znanych kompozytorów i autorów tekstów piosenek. Program obfitować będzie w wiele niespodzianek. Jedną z nich jest fakt, że najlepszy piosenkarz Société-Radio Canada, Jean Pierre Ferland, zaśpiewa nagrodzoną na Festiwalu w Brukseli piosenkę „Penille de Gul” po polsku. Łodzian szczególnie zainteresuje wiadomość, że reprezentant Szwajcarii Franca Di Renco (zdobywca Grand Prix Eurowizji) zaśpiewa łódzką piosenkę Słowikowskiego i Hertla „Parasolki”.

I jeszcze jedno: dotąd brak kandydatur tylko dwóch państw, które będą w Festiwalu uczestniczyły. Są nimi Włochy i... Polska.

WCIAŻ BRUDNO

Z ciekawą inicjatywą wystąpił Gdańsk. Otóż wprowadzono tam następujący eksperyment. Podczas budowy bloku mieszkaniowego, jego przyszli mieszkańcy sami pomagają w budowie. Oczywiście wykonują tylko najprostsze prace, które jednakże przyczyniają się do przyspieszenia robót wykonawczych. Eksperymentem Gdańska zainteresował się już Kraków i Poznań. A Łódź? No cóż nasze miasto nie przejawia jakos inicjatywy w tym kierunku, a szkoda. Doszło już bowiem do tego, że mieszkańcy nowo postawionego bloku nie czują się nawet w obowiązku uprzątnąć własnego, nowego podwórka. Takta sytuacja ma miejsce np. wokół oddanego do użytku pięknego, olbrzymiego bloku przy zbiegu ulic Jarzyńowej i Jęczmiennej. Od blisko dwóch miesięcy gospodarują tutaj nowi mieszkańcy. Na dachu wznosi się las anten telewizyjnych. Otwarto nowy sklep spożywczy i zakład fryzjerski. A tymczasem wokół bloku rozciąga się

potężne śmietnisko. Trudno napisać, że to jest kawałek ostry, papy, desek i innych pozostałości po budowie. Przed blokiem pozostał (chyba na pamięć) głęboki dół po wapnie, w którym obecnie brudzą się dzieci. Gdzieś tam słońce uschnięte drzewa (dawnej w tym miejscu był ogród), a jedno nawet zakwitło. Przed dwoma miesiącami robotnicy oddali blok do użytku, spakowali narzędzia i odeszli; a mieszkańcy zdążyli się już zagospodarować, założyli anteny telewizyjne i cieszyć się nowymi mieszkaniem. To, że do tych pięknych mieszkań muszą dostawać się przez śmietnik widocznie im nie przeszkadza. Przeszkadza natomiast obojętnym mieszkańcom, którzy dziećmi wykorzystują śmietnisko jako teren zabaw. Ciekawe, jak długo jeszcze mieszkańcy bloku przy zbiegu Jarzyńowej i Jęczmiennej będą przedzierać się przez śmietnisko do swych nowych, pięknych mieszkań.

A NIBY DLACZEGO?

Nota, którą zamieściliśmy powyżej, wymaga natychmiastowej odpowiedzi. Oczywiście, nie występujemy przeciwko udziałowi mieszkańców w porządkowaniu własnej posesji. Hasło warto poparć, zresztą autor noty „Wciąż brudno” krzywdzi mieszkańców naszego grodu: z roku na rok wzrasta w Łodzi wartość prac społecznych (są przecież u nas książeczki pracy społecznej, czyżby o tym autor zapomniał?). Krzywdzi także (tak można sądzić z tonu noty) mieszkańców bloku przy zbiegu Jarzyńowej i Jęczmiennej; krzywdzi, gdyż na nich składa winę za nieuprzątnięcie gruzów pozostawionych przez ekipę budowlaną. Pisaliśmy niedawno w „Odgłosach tygodnia” o karygodnym marnotrawstwie niektórych przedsiębiorstw budowlanych, o pozostawianiu

na placach budów wiele cennego materiału, który można by użyć przy budowie nowych bloków. Być może, że w omawianym wypadku chodził rzeczywiście tylko o niepotrzebne nikomu odpadki. Sądymy jednak, że w pierwszym rzędzie należałoby udeżyć „po honorze” ekipę budowlaną, która — jak każde nowe na całym świecie — powinna zostawić po sobie porządek, a dopiero w drugim rzędzie zaapelować do mieszkańców bloku, którzy z pewnością nie odmówią swojej pomocy.

P. S. Eksperyment gdański — pomoc mieszkańców przy wykończaniu domu — to odrębne zagadnienie i godne upamiętnienia — ale, rzecz jasna, nie mechanicznego powielenia.

SPROSTOWANIE

W recenzji M. Wawrzewicza „Don Juan, czyli wierność Mozartowi” uległy zniekształceniu nazwiska dwóch solistów Opery Łódzkiej. Winne one brzmieli: Andrzej Sactuk i Stanisław Michonisi.

Za te przykre zniekształcenia przepraszamy Artystów i Czytelników.

Redakcja

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa” Łódź * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4,-, kwartalnie zł 12,- * Redakcja nie zamawiających rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy” * Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Żwirki 17 * Zam. 1543, V. 63, K-4

SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW



ALINA

KULIKÓWNA

ALINA KULIKÓWNA — aktorka Teatru im. St. Jaracza. Zanim tę rodowitą warszawiankę zobaczyliśmy na łódzkiej scenie, występowała uprzednio w Katowicach, Wrocławiu i Szczecinie. Grała wiele interesujących ról: Violę — w „Wieczorze Trzech Króli”, Amelię — w „Mazepie”, „Pannę Maliczewską”, „Ondynę”, Klarę — w „Zemście”, Anielę — w „Ślubach”.

Poza tym kreowała wiele ról w sztukach Goldoniego i Giraudoux, Zapolskiej i Kruczkowskiego, Williamsa i Tolstoja.

Pani Alina jest wielką miłośniczką poezji. Toteż często bierze udział w wielu wieczorach poetyckich, a my z prawdziwą przyjemnością jej słuchamy. Ulubienicy artystki: Gałczyński, Tuwim i Różewicz. Jej konik — poezja nonsensu.

Tekst i zdjęcie GERARD PUCIATO

Z DRUGIEJ STRONY

Otrzymał list, w którym anonimowy autor (a szkoda, że nie podał nazwiska) chwali „Odgłosy” za rzetelność i „pełne zaangażowanie w sprawy Łodzi”. Jednocześnie jednak, nie bez dyskretnego ironii, prosi o wiadomość podaną w repertuarze „Kolorowy świat”, że pierwszą samoobsługową biblioteką w Łodzi jest Biblioteka LDK. Podobnie zresztą pisała o tym i prasa codzienna. „Jest inaczej — pisze czytelnik — pierwszą biblioteką samoobsługową w naszym mieście jest 17 Rejonowa Biblioteka dla Dorosłych mieszcząca się przy ul. Obronców Stańgna 71”.

Zamieszczamy to sprostowanie i dziękujemy.



KLUB POMYLONYCH

W Łodzi, w latach 1898—1901 istniał „Klub pomylnych”. Znalazł on pied à terre w restauracji „Victoria” przy ul. Piotrkowskiej nr 63 w podwórzu, gdzie mieścił się teatr „Victoria” (obecnie kino „Polonia”). W tych latach dyrektorem teatru „Victoria” był Michał Wołowski, literat i autor wielu sztuk dramatycznych, m. in. „Towarzysza pancernego”. Długożyci klub mieścił się w restauracji? Odpowiedź łatwa. Władze carskie nie zezwalały na otwieranie polskich placówek kulturalnych, trzeba więc było działać z ostrożnością. Członkowie klubu rekrutowali się głównie spośród sfer inteligencji zawodowej, a więc adwokatów, lekarzy, budowniczych itp. Zresztą „Klub pomylnych” (bo tylko za takich często uchodzili ci, którzy w okresie carskim usiłowali pracować dla kultury polskiej) był placówką ściśle powiązaną z teatrem polskim, który zastępował jak by dzisiejsze Towarzystwo Przyjaciół Teatru.

Obok więc zadań kulturalnych klub współdziałał z dyrektorem teatru w pomocy finansowej i w zjednywaniu nowych członków. Klub był również miejscem spotkań rozrywkowych, giełdą najświeższych wiadomości artystycznych, no i oczywiście ploteczek, których zawsze było po dziurki w nosie. Członkowie klubu powinni byli przychodzić na zebrania punktualnie. Spóźniających się tzw. „prokurator” oskarżał, a

sędzia przysądzał karę w postaci tytu, a tytuł filizanek kawy, często nawet w razie powtarzających się spóźnień, z zielonym likierem lub „benusiem”.

Wesoło bawił się „Klub pomylnych” zwłaszcza gdy dyrektor teatru, Michał Wołowski, zapraszał do teatru jakiegoś wybitnego artystę. Do najwspanialszych należał znakomity artysta (o ironio losu!) tragiczny Roman Zelazowski, który grał tu tytułową rolę w „Pietru Carusie” Goldoniego.

Każdy członek „Klubu pomylnych” zastadając do stolika, musiał wnieść składkę w wysokości 50 kopiejek, a czasem więcej, zależnie od menu. Gdy któregoś z członków zabrakło, wówczas kasjer nakładał kontrybucję na wszystkich. Do grona „pomylnych” należał m. in. Henryk Lubiński, redaktor „Goniącego Łódzkiego” i dwóch młodych literatów-pocistów: K. Młodowski i A. Gilszczyński.

Do restauracji „Victoria” wchodził jednocześnie kilku gości i zajmują miejsca przy wspólnym stole, niedaleko bufetu. Bufetowa (do kiennera): Pani Antoni, „pomyleni” przyszedł.

(Kienner podchodzi do stolika): — Pięć czarnych? — Złazowski: — Dla mnie i literata, czyste.

Gilszczyński: — Dla mnie z „benusiem”.

Lubiński: — Mam wam do zakomunikowania radosną wiadomość. Ostatecznie otrzymałem z Petersburga koncesję na „Goniącego Łódzkiego”.

Wołowski: — No to nie zapominajcie o teatrze. Wystawiam „Madame Sans Gene” z Honoratą Leszczyńską.

Zelazowski: — Pamiętacie, że Pietro Caruso — to ja.

Gilszczyński: — No, wreszcie my, pomyleni, fin de sieclisci — doczekaliśmy się plama.

Zelazowski: — Eviva l'arte! Niech żyje „Goniący Łódź”!

Lubiński: — A teraz serio. Otwieram posiedzenie „Klubu pomylnych”. Mam zamiar...

Wołowski: — A może by tak przedtem kolację, bo zanosi się na długie gadanie.

Wszyscy: — Najpierw postępek dla ciała, a potem dla ducha.

J. D.